NIECHAJ W RADOŚCI TE ŚWIĘTA PŁYNĄ

WAM, CZYTELNICY I WASZYM RODZINOM!

Świat Młodych

GAZETA HARCERSKA

NR 102-3 (2302/2303) | 21–25 grudnia 1973 r. | CENA 1 ZŁOTY

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 WARSZAWA

Trochę na serio,
trochę na kpinkę
ściąga dziś gwiazdy
Rzep pod choinkę.
I między karpiem
a słodkim ciastem
podaje konkurs

GWIAZDY NA GWIAZDKĘ

KOCHANI! Przedstawiam Wam sześć sytuacji, związanych z „gwiazdami" odchodzącego roku. Z każdego obrazka wynika hasło do wpisania poziomo w kolejności do diagramu naszego konkursu, umieszczonego w lewym dolnym rogu strony. Uważajcie na mnie — jestem na każdym obrazku i pomagam Wam.

W kratkach diagramu umieszczone są liczby. Litery z tych kratek trzeba wpisać w kolejności do kuponu, odczytać sobie rozwiązanie, kupon nakleić na kartę pocztową i przesłać do naszej redakcji **DO 3 STYCZNIA 1974 R.** Wśród autorów prawidłowych odpowiedzi rozlosujemy:

ROWER
ADAPTER „MISTER HIT"
50 ZNACZKÓW
RZEP-KLUBU.

27	5	1	6										
		2	4	16	30		7						
11	19	15	20	18	17		12	14		13	10	26	9
22	8		21		24								
		25		3		23							
		31	29	28									

KUPON

U	1	2	S	W	3	U	4	5	6	7	8		
9	10	11	12	13	A	14	15	A	16	17			
D	18	A	P	19	N	N	20	21	22	A	23		
24	25	A	26	27	28	29	P	30	31	A			

NIEZWYKŁY ŚWIAT WOKÓŁ BIEGUNÓW

Arktyka i Antarktyka. Dwa obszary na kuli ziemskiej najbardziej niedostępne, tajemnicze i nieznane. Jak tam jest? Jak wygląda ten groźny świat? O białych lodowych pustyniach, o niecodziennych zjawiskach, o śmiesznych pingwinach opowiadają dziś ludzie, którzy byli w Arktyce i w Antarktyce — znani odkrywcy i badacze polarni.

LĄD BIAŁYCH CIEMNOŚCI

...Było nas dwóch. Wyszliśmy z bazy na kilkugodzinną wyprawę. W oślepiającym słońcu Antarktydy nasze białe, ciepłe stroje upodobniły się do śnieżnego krajobrazu. Po pewnym czasie spostrzegam z przerażeniem, że nie ma mojego przyjaciela. Znikł jak kamfora. Rozglądam się dokoła, może wpadł w rozpadlinę. Niestety, teren jest równy. Lecz cóż to? Głos zaginionego rozlega się z miejsca, gdzie przed chwilą maszerował. Ale gdzie on jest, u licha?

Po chwili nowa niespodzianka. Widzę swego towarzysza... unoszącego się w oddali ponad ziemią. Czy ja zwariowałem?! Dopiero po dłuższej chwili wszystko jest jak dawniej — widzę kolegę obok mnie.

— Co to było? — pytam przyjaciela.

— Nic. A co się stało?

— Zniknąłeś, a potem widziałem cię w górze w charakterze aniołka.

— Niemożliwe, cały czas byłem przy tobie.

Później dopiero rozwikłaliśmy to niezwykłe zdarzenie. Okazało się, że byłem świadkiem tzw. wielokrotnego odbicia. Występuje ono na Antarktydzie (i w Arktyce również) w „białe dni", przy silnym nasłonecznieniu. Wszystko wokół jest wtedy tak białe, że oko ludzkie przestaje odróżniać jedne przedmioty od drugich. Bardzo wielka jasność oślepia. Człowiek zachowuje się tak, jakby był w ciemności. Dlatego właśnie Antarktydę nazywają niektórzy „Lądem białych ciemności"...

BORYS KIRYŁOW, uczestnik radzieckiej wyprawy antarktycznej.

SŁOŃCE WSTAŁO, PODŁUŻNE JAK JAJO

...Wreszcie nadszedł upragniony dzień. Po wielu tygodniach noc polarna zaczęła blednąć. W południe północny punkt horyzontu zajaśniał, nadszedł świt, a z nim od razu zmierzch. Słońce nie wyjrzało. Następnego dnia pokazało tylko rąbek swej złocistej tarczy i znowu zniknęło za horyzontem. Nadszedł okres wspaniałych widoków. Codziennie w południe północne niebo (na Antarktydzie słońce wędruje po północnym niebie) grało wszystkimi barwami. Codziennie przepych barw wzmagał się, aż wreszcie nadszedł dzień, w którym słońce wstało, całe w ogromnym przepychu kolorów, daleko na krańcu białej lodowej pustyni. Olbrzymie zgęszczenie powietrza sprawiło, że słońce wydłużyło się w cudowne podłużne jajo. Od tego pamiętnego widoku mieliśmy już dzień.

Nadciągało antarktyczne lato. Słońce coraz dłużej świeciło na niebie, aż pewnego dnia przestało w ogóle zachodzić. Rozpoczął się bez przerwy dzień...

ANTONI BOLESŁAW DOBROWOLSKI, polski uczony, podróżnik polarny. Wspólnie z drugim Polakiem, Henrykiem Arctowskim, uczestniczył w belgijskiej wyprawie antarktycznej w latach 1897—1899.

ZORZA POLARNA

...Nie zdarzyło się, żeby w czasie pogody nie było widać zorzy polarnej. Stoi człowiek czasem i spogląda na gwiazdy. Nagle na jednej części sklepienia niebieskiego zapala się jasny snop światła. Jakby na jego powitanie rodzi się drugi, trzeci. Cienkie promienie rosną, wydłużają się ku zenitowi, to gasnąc, to zapalając się. W zależności od ich koloru zmieniają swą barwę leżące wokół pola śnieżne. Oto zajaśniała zielona wiązka promieni i wszystko dokoła się zazieleniło, i śnieg, i budynki. Ale zieleń blednie i już ogarnął wszystko pomarańczowozłocisty, krwawoczerwony pożar. Każdy płatek śniegu lśni teraz jak rubin. Nagle promienie przybladły, uniosły się i nie ma już ich w górze. Utworzyły łuk rozciągający się na niebie od krańca po kraniec. Po łuku tym przebiegają z nie dającą się wypowiedzieć szybkością barwy: fioletowa, zielona i pomarańczowa. Cała ta fantastycznie utkana wstęga zaczęła się zwężać, to znów szeroko rozprzestrzeniać wysuwając ku horyzontowi jaskrawe języki.

Nagle wszystko znikło. Zimno. Trzeba się iść ogrzać, ale żal odchodzić. Rozglądam się dokoła. Ciemno...

ROALD AMUNDSEN, norweski badacz polarny, zdobywca Bieguna Południowego w 1911.

ELEGANCKIE PTAKI

...Wczoraj widziałem małe pingwiny, a dzisiaj duże. Pingwiny mniejsze, to bezlotki Adeli, a większe, prawie wzrostu niedużego człowieka, to bezlotki królewskie. Jedne i drugie usilnie dążą do posiadania potomstwa. Samica pingwina znosi bardzo mało jaj: jedno, dwa, a niekiedy nie znosi ich wcale. Natomiast kradną sobie nawzajem jaja i staczają o nie okrutne boje. Bezlotki Adeli gnieżdżą się podczas lata, przy czym jaja wysiadują kolejno samica i samiec. A bezlotek królewski — jakkolwiek trudno w to uwierzyć — urządza swoje gniazdo w okresie najsurowszych w Antarktydzie ciemnych zimowych miesięcy. Czym żywi się wtedy, trudno powiedzieć...

Dr EDWARD WILSON, angielski uczony, lekarz i zoolog, przyjaciel Roberta Scotta.

...Pingwiny ciągnęły długim sznurem, ale jeden widocznie był chory. Zostawał w tyle — nie mógł iść. Wtedy odłączyła się grupa złożona z pięciu ptaków, która została z chorym towarzyszem, a reszta szła dalej. Piątka pingwinów otoczyła chorego, podtrzymywała go, popychała i pomału doprowadziła do miejsca ogólnej zbiórki...

JEAN CHARCOT, francuski podróżnik i oceanograf, badacz rejonów antarktycznych, lekarz.

...Ptaki te posiadają niezwykły instynkt społecznego współżycia. Nie dość, że skupiają się w tak liczne kolonie, ale rozbijają się na grupy, łączą i rozchodzą. Wygląda na to, że pingwiny chodzą do siebie w gościnę, kłaniają się sobie i rozmawiają ze sobą w swoim języku. Kłócą się i wymyślają sobie zupełnie jak ludzie.

Bezlotek Adeli jest nieprawdopodobnie zabawny na ziemi i na lodzie. Czy śpi, czy się kłóci, czy bawi, czy się boi, czy gniewa — jest zawsze wcieleniem humoru. Na wodzie jest zupełnie inny. Niepodobna się nim nie zachwycać, gdy jak strzała nurkuje na cztery metry lub podrywa się w powietrze ze zręcznością delfina. Porusza się prawdopodobnie nie tak szybko jak się wydaje, ale zdumiewa zwinnością i pięknością ruchów...

ROBERT SCOTT, angielski badacz polarny, komandor. Jako drugi człowiek osiągnął Biegun Płd. (w kilka dni po Amundsenie), lecz w drodze powrotnej zmarł z wycieńczenia.

LODOWE OLBRZYMY

...Gdy zaczyna się silne natarcie lodów wydaje się, że na powierzchni ziemi nie ma niczego, co mogłoby pozostać na miejscu, co mogłoby się nie zatrząść, nie zadrżeć. Z początku słychać szum i huk, jakby w oddali miało miejsce trzęsienie ziemi. To milczący świat lodów obwieszcza grzmotem, że olbrzymy przyrody zbudziły się do walki. Lód pęka we wszystkich kierunkach i zaczyna się piętrzyć. Wszystko dokoła ryczy, trzeszczy, wyje. Kry o grubości 3—4 metrów pękają i nastają na siebie niczym piłki. Podróżnik musi uciekać, w przeciwnym wypadku czeka go zguba. Grzmoty i huki rozlegają się ze wszystkich stron, jakby spadały dziesiątki olbrzymich wodospadów...

FRIDTJÖF NANSEN, norweski badacz polarny, przyrodnik, oceanograf.

13 lutego 1933 roku w czasie takiego nacisku lodów zatonął na Morzu Arktycznym słynny okręt polarny „Czeluskin".

Była godzina 13 minut 20. Szalała zawierucha śnieżna, przy temperaturze 32 stopni poniżej zera. Inżynier Ross podszedł do kapitana Woronina.

— Kapitanie — powiedział — przed nami zaczynają się tworzyć torosy. Wysoki wał lodowy szybko rośnie i wali prosto na nas.

— Tak, wiem — odparł Woronin. W tej samej chwili okręt zaskrzypiał. Dla Woronina było oczywiste, że okręt zatonie. Wśród wycia wiatru było coraz wyraźniej słychać huczenie lodu. Wał lodowy groźnie podpełzał coraz bliżej.

— Cieplej się ubrać! Wszyscy na górę! Zacząć wyładunek! — padały jeden po drugim szybkie rozkazy.

Nagle nastąpiło silne uderzenie. Wszystko zadrżało. Mocna stal kadłuba nie od razu uległa. Było widać jak kra wgniata się w burtę i jak ponad nią wzdymają się blachy poszycia wydymając się na zewnątrz. Lód kontynuował powolne, ale uporczywe natarcie. Nastąpiło drugie uderzenie, jeszcze bardziej druzgocące. Ściśnięty przez lody „Czeluskin" zaczął drgać i powoli zanurzać się, by na zawsze zniknąć w otchłani...

Opracował: ST. BOROWIECKI

KRÓL W DOMU LWA BERBEROWA

Lwa nazywa się królem zwierząt. Kto go tak nazwał i dlaczego — nie wiadomo. W każdym razie już w starożytności spotykało się jego wizerunki na płaskorzeźbach i freskach w Babilonii, Asyrii, Egipcie, Persji... Później — w królewskich herbach, na pomnikach i fasadach domów, w baśniach i opowiadaniach. Dziś lwa można zobaczyć w ogrodach zoologicznych, coraz rzadziej zaś na pustyni.

Lew, o którym wam opowiem, nie był królem pustyni, nie polował na zebry czy antylopy, nie wylegiwał się w cieniu baobabu. Był lwem... domowym.

Mieszkał u architekta Lwa Lwowicza Berberowa — w zwykłej, szarej kamienicy, w samym centrum Baku — wraz z żoną gospodarza, Niną Pietrowną, dziećmi — Ewą i Romkiem oraz kilkorgiem przeróżnych zwierząt. I nosił imię King, co po angielsku znaczy „król". Dziwny zbieg okoliczności sprawił, że King był na dodatek lwem berberyjskim. Miał więc całkowite prawo uważać się za członka rodziny państwa Berberow. I uważał się!

Skąd wziął się King u Berberowych?

LEW W PIELUSZKACH

Państwo Berberow często bywali gośćmi miejscowego ZOO. Pewnego razu dyrektorka ogrodu zwierzyła się im z ogromnego kłopotu:

— Właśnie padło dwoje lwiąt, a trzecie lwica przypadkowo skaleczyła pazurem. Lekarz dwukrotnie zszywał ranę, ale matka ciągle rozlizuje szwy...

Berberowie podeszli do woliery, gdzie na brudnych szmatach leżało okropnie zabiedzone stworzenie niczym nie przypominające króla zwierząt. Na widok ludzi kociak cichutko zamiauczał i zaczął się do nich czołgać.

— Ostre stadium krzywicy — skonstatował pan Berberow.

Tymczasem pani Nina weszła do klatki, wzięła lwiątko na ręce i przycisnęła do policzka. „Lewek" wczepił się jej w szyję i w pierś wszystkimi dwudziestoma pazurami pomrukując: „Auuu". I w ten sposób zjawił się w rodzinie państwa Berberow King I.

Mycie, wymasowanie brzuszka, nakarmienie przez smoczek odpowiednią mieszanką mleka nie było zbyt trudne. Tyle tylko, że lwiątko podrapało do krwi wszystkim domownikom ręce.

— A może by przyciąć mu końce pazurów?

Robili to niejednokrotnie ze szczeniakami i kociętami. Ale wówczas ani on sam, ani oni nie poznają siły jego pazurów.

— Wróci do ogrodu zoologicznego! — powiedziała z rezygnacją pani Berberow, pochylając się nad śpiącym kociakiem.

King leżał w łóżeczku Romka na ceratce, owinięty w pieluszki i przykryty prześcieradłem.

— No i znowu smoczki i pieluchy... Już po raz trzeci! Czy to nie za wiele... — wzdychała pani Nina.

Wtedy lwiątko otworzyło oczy, objęło panią Ninę łapą za szyję i przyssało się pyszczkiem do jej ucha. Ucho wnet spuchło jak bania, a pani Berberow powiedziała:

— Nie! Trzeba by nie mieć serca, żeby cię oddać znów do ZOO!

KING ZAPRASZA DO ZABAWY

Półtora miesiąca później King biegał już wesoło razem z Ewą i Romkiem po nadmorskiej plaży, błyszcząc w słońcu niczym wypolerowany samowar. Państwo Berberow spacerowali z nim Bulwarem Nadmorskim, chodzili do znajomych. Jak z pieskiem. King przywykał do tych spacerów po ulicach, do ruchu miejskiego, do ludzi, nie przypuszczając nawet, że wzbudza sensację.

Nocą nadal sypiał w dziecięcym pokoju, a pani Berberow przybyło sadzanie na nocnik — oprócz Romka i Ewy — także i Kinga.

King uwielbiał zabawy z Ewą i Romkiem, choć niejednokrotnie dostawał od nich klapsy po łapach za wysuwanie pazurów. Im jednak stawał się starszy, tym ostrożniej obchodził się z dziećmi. Początkowo, rozbawiony, po prostu przewracał dzieci, ciesząc się swoją siłą. Później galopem wypadał z zasadzki i o pół metra od dziecka stawał w miejscu jak wryty. Potem wpadł na jeszcze ciekawszy pomysł: podbiegał do Romka, popychał go piersią i padającego chwytał na wyciągniętą łapę, a następnie ostrożnie stawiał na ziemi.

Kiedy dzieci nie było w domu, King próbował się wdrapać p. Ninie na kolana na małą drzemkę, albo chwytał ją za fartuch i patrząc prosząco w oczy przymawiał się o zabawę.

WSPÓLNY JĘZYK Z LWEM

Z czasem państwo Berberow zaczęli rozumieć Kinga jak własne dziecko i znaleźli z nim wspólny język. Wystarczył ruch jego wielkich bursztynowych oczu czy wyraz pyska, aby dowiedzieć się czego on chce, z czego jest niezadowolony. King nie był „gadatliwy". Kilka odcieni miauczenia dokładnie oddawało: „Witaj, cieszę się, że cię widzę!" „Nakarm mnie!" „Zostaw mnie w spokoju!", „Jestem bardzo niezadowolony — skrzywdzono mnie..." I wreszcie: „Auuu" oznaczało „Jestem tu!"

Życie domowego lwa wymagało wprowadzenia najrozmaitszych ograniczeń i zakazów. Dyktowała je ostrożność, bo King nauczył się już po mistrzowsku operować ostrymi jak igły pazurami. Kiedy się za bardzo rozbawił, potrafił rozedrzeć czasami ubranie. Zabawa z lwem musi mieć jednak swoje granice. Gdy więc pan Berberow zakładał nowe spodnie albo pani Nina — cienkie pończochy, mówiło się tonem bezwzględnego zakazu: „Nowe!" I przyzwyczaił się. Później Romek zaczął go nawet nadużywać, mówiąc do rozbawionego Kinga: „Ja cały jestem nowy! Nowy — rozumiesz?"

King bardzo uważnie przysłuchiwał się słowom do niego wypowiadanym i szybko je zapamiętywał. W ten sposób powstał cały „lwi język", składający się z kilkudziesięciu wyrazów. Na krzyki i rozkazy wydawane podniesionym głosem lew w ogóle nie reagował. Nie karcono go więc zbyt często.

Powoli King nauczył się korzystania z sedesu, cierpliwego siedzenia w wannie, dopóki się go nie umyje, jadania przy wspólnym stole i to tak, by okruszynka nie spadła na czysty obrus, powstrzymywania się od ostrzenia pazurów o parkiet, opanowanie swego ogona zdolnego stłuc kineskop telewizora czy zrzucić wszystko ze stołu. A to nie takie proste, gdy się jest tryskającym energią „lwim nastolatkiem".

TRZECIE URODZINY

King był chyba najweselszym lwem pod słońcem. A przy tym — bardzo silnym. Kiedyś, podczas zdjęć do filmu, zapatrzył się na prosięta i poszedł pobawić się z nimi wyrywając z futryny ciężkie dębowe drzwi, do których był przywiązany.

Lubił nocne lub poranne przechadzki Bulwarem Nadmorskim — szczególnie, jeśli mógł swobodnie pobiegać, a latem uwielbiał kąpiel w morzu. Do ćwiczeń „gimnastycznych" w domu służyła mu zawieszona na linie opona.

King wyrósł już w tym czasie z dziecinnego łóżeczka. Państwo Berberow zmuszeni więc byli poszerzyć swój tapczan i wzmocnić konstrukcję, by wytrzymała ciężar lwa. King sypiał zwykle na grzbiecie, z czterema łapami do góry. Czasami cicho w nocy wstawał, po czym równie cicho wracał na swoje miejsce, nie zakłócając innym odpoczynku. Latem, w czasie upałów, kładł się na przeciągu lub pod wentylatorem. Jak to lwy, lubił spać po szesnaście godzin na dobę.

O dokładnie określonej porze dnia karmiony był surowym mięsem z mineralnymi, białkowymi i witaminowymi dodatkami. Przez dwa pierwsze lata państwo Berberow utrzy-

C.d. na str. 4

KRÓL

Ciąg dalszy ze str. 3

mywali go własnym kosztem. Ale gdy podrósł — a ważył już ponad dwieście kilogramów — zjadał w ciągu dnia 9 kg mięsa! Zaczęło to być zbyt kosztowne. Z pomocą przyszła miejska rzeźnia dostarczając mięso dla lwa bezpłatnie. Bądź co bądź King był sensacją w mieście. A potem zaczął zarabiać na siebie występując w filmach i pozując do zdjęć.

Mimo swej siły King I nie był groźny dla ludzi. Mieszkanie państwa Berberow często było pełne gości. Lew odnosił się do wszystkich przyjaźnie. Gdy ukończył trzy lata, urządzono mu uroczyste urodziny. Przyszło takie mnóstwo gości, że niektórzy z braku innego miejsca uczestowali siedząc na kredensie.

TRAGICZNY FINAŁ

King II podniósł się z dywanu, leniwie przeciągnął i nim Romek zdążył go chwycić za ogon zakończony pędzelkiem, zgrabnie wspiął się po drewnianych schodkach znikając na antresoli.

— King II ma dopiero pół roku. Ale kropka w kropkę przypomina nam Kinga I. Ma podobne nawyki, jest równie inteligentny... Posiada zadatki na dobrze ułożonego domowego lwa — uśmiechnął się pan Berberow.

— A co się stało ze „starym" Kingiem? — zapytałem Lwa Lwowicza.

— To tragiczna historia, która wstrząsnęła nami, a najbardziej dziećmi. Właściwie tragiczna pomyłka...

King grał w filmie... W trudnym filmie, w którym miał ścigać człowieka i obalić go na ziemię. A więc rolę „złego lwa". Ale, że był znakomitym aktorem, robił wszystko, o co go proszono, do czego nie byłby zdolny lew tresowany. Bo on nie był tresowany, lecz wychowany. Nie spotkał się z innymi wzorami zachowania jak tylko ludzkimi. Naśladował więc ludzi. Nas uważał za takie trochę inne lwy, siebie — za członka rodziny, takiego małego stada.

Podczas kręcenia części filmu w Moskwie mieszkaliśmy — my dorośli, dzieci, King i jego największy przyjaciel, piesek Czap — w budynku szkolnym na parterze. Za oknami był ogród otoczony co prawda wysokim płotem, ale niestety były w nim dziury. Kingowi pozostawało więc tylko smętne wyglądanie przez okno. Pozbawiony był spacerów.

Przez wyrwę w płocie przychodziły do ogrodu dzieciaki. W ten sam sposób znalazł się tam student Włodzimierz Markow, z małą psiną, bardzo podobną do naszego Czapa, która wabiła się też podobnie — Czipa. Prawdopodobnie King, zobaczywszy tego psa, wziął go za Czapa, wypchnął głową szybę i... nagle Markow zobaczył wychodzącego zza krzaków lwa. Chwycił na ręce swego pieska i przerażony zaczął uciekać. King sądząc, że obcy ucieka z jego przyjacielem, Czapem, dopadł go i powalił na ziemię. Jak w filmie. Przypadkowi przechodnie podnieśli alarm. Przybiegł milicjant. Kilka strzałów i King padł martwy. Zginął w wyniku tragicznej pomyłki. Wszyscy myśleli, że to lew, który uciekł z ZOO.

Z żalu po swym przyjacielu, nic nie jedząc, zdechł wkrótce Czap — zakończył swą opowieść Lew Lwowicz Berberow.

JERZY KASPRZAK

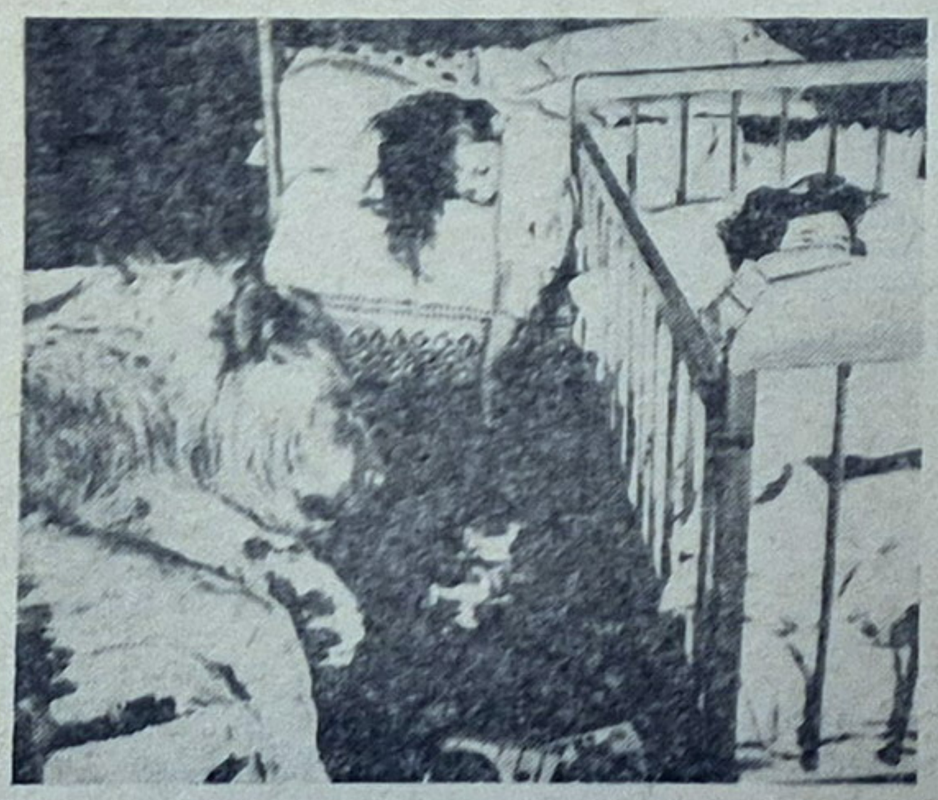

KOLĘDZIOŁKI

Kolędziolka jest skrzyżowaniem kolędy z pastorałką. Można ją śpiewać podczas kolędniczych obchodów lub wysyłać na pocztówkach różnym osobom.

Dla przykładu podajemy Wam dziś kilka kolędziołek, które z łatwością znajdziecie w tym numerze.

Dla przykładu, to znaczy, że możecie sami sobie wymyślać kolędziołki dla dowolnie wybranej osoby.

„JEŚLI KTOŚ OZNAJMI, ŻE KSIĘŻYC JEST ZBUDOWANY Z ZIELONEGO SERA, NIE SPODZIEWAJMY SIĘ OD ZAWODOWEGO ASTRONOMA, ŻE PORZUCI TELESKOP PO TO, BY OPRACOWAĆ SZCZEGÓŁOWE SPROSTOWANIE TEJ WIADOMOŚCI. UCZENI MAJĄ, RZECZ JASNA, WAŻNIEJSZE ZADANIA! – pisze w swej książce Martin Gardner. Dopóki będzie istniała nauka, tak długo będą się wokół niej kręcić różnego rodzaju maniacy, próbując różnymi sposobami zdobyć uznanie ogółu dla głoszonych przez siebie bredni. Niektórzy z tych ludzi działają zresztą w dobrej wierze, próbując po swojemu wyjaśniać zjawiska jeszcze niewytłumaczone. Najgorsi jednak są maniacy upierający się przy teoriach dawno obalonych, takich, które po prostu przeczą rzeczywistości.

Poniżej przedstawiamy kilka dziwacznych koncepcji na temat Ziemi. Warto je poznać choćby dlatego, by zdać sobie sprawę z tego, jakimi drogami chadza niekontrolowana przez rozum i rozsądek myśl ludzka.

* „Pseudonauka i pseudouczeni" — Martin Gardner, PWN 1966

W roku 1895 szkocki znachor, John Aleksander Dowi, założył w miasteczku Zion (stan Illinois, USA) sektę religijną o nazwie Chrześcijański Kościół Apostolski. Członkowie tej sekty — w liczbie dziesięciu tysięcy — święcie wierzyli, że Ziemia jest płaska jak naleśnik i ma w swym centrum biegun północny, a południowy rozciąga się na obwodzie owego naleśnika.

Najbardziej zagorzałym teoretykiem płaskości Ziemi był od roku 1905 drugi przywódca sekty W. G. Voliva. Wymyślał on nieprawdopodobne argumenty, aby przekonać wszystkich o słuszności swych twierdzeń. Odbył w tym celu kilka podróży dookoła świata, wygłaszając odczyty (twierdząc, iż zakreślił jedynie koło na płaszczyźnie!). Wyznaczył też nagrodę w wysokości 5000 dolarów za udowodnienie mu kulistości Ziemi.

Jego teoria głosiła, iż tylko dlatego nie spadamy

w przestrzeń z plackowatej Ziemi, bo cały jej obwód jest ogrodzony ogromnymi zwałami gór lodowych i zasp śnieżnych. Poza nimi znajduje się Hades zamieszkały przez duchy istot pewnej nieznanej rasy wywodzącej się od Adama i Ewy.

Pismo wydawane przez Volivę, a noszące tytuł „Uzdrawiające kartki", pełne było absurdalnych dowodów na plackowatość Ziemi, tkwiącej nieruchomo w przestrzeni. Pisano np., że gdyby Ziemia się obracała, to każdy, kto na jej powierzchni podskoczy w górę na jedną sekundę, wyląduje w odległości 193,7 mili od miejsca, w

„PIRUET" „ZŁOTY KRĄŻEK" (2)

W pierwszym odcinku naszej „szkoły" zajmowaliśmy się przygotowaniem do wyjścia na lód oraz ćwiczeniami dla tych, którzy dopiero uczą się jeździć na łyżwach. Dzisiejsze zajęcia będą trochę trudniejsze. Zanim jednak założycie łyżwy, proponujemy krótką rozgrzewkę, mającą na celu nie tylko przygotowanie organizmu do większego wysiłku, ale także wyrabiającą zmysł równowagi — tak bardzo potrzebny na lodowej tafli.

SKŁON I PRZYSIADY

Na lekcjach wf wykonywaliście już skłony w przód w bok, do prawej i lewej nogi. Pamiętajcie jednak, że nawet przy tych pozornie prostych ćwiczeniach nie wolno uginać nóg w kolanach. Większą trudność sprawią wam skłony z oparciem jednej nogi o ławkę, drzewo. Przy wykonywaniu tego ćwiczenia musicie skręcać tułów.

Przysiady, a szczególnie te na jednej nodze, wpływają doskonale na wzmocnienie mięśni kończyn dolnych. Spróbujcie ćwiczyć z partnerem, trzymającym waszą nogę uniesioną do wysokości bioder. Przy wykonywaniu przysiadu trzeba zachować pionową sylwetkę ciała. Powyższe ćwi-

którym podskoczył, ponieważ przez ten czas Ziemia przesunie się pod skaczącym.

Sam Voliva oczywiście pisał i publikował najwięcej. Oto próbki jego stylu i argumentacji.

Autor dowodzi, iż Ziemia jest nieruchoma:

„Czy ktoś, kto traktuje sprawy poważnie może uczciwie stwierdzić, iż wierzy, że Ziemia porusza się z tak zawrotną szybkością? Jakże to jest możliwe? Gdyby tak było, podróżowanie w kierunku zgodnym z jej ruchem byłoby łatwiejsze niż w kierunku przeciwnym. Wiatr powinien wiać stale w kierunku przeciwnym do tego, w jakim porusza się Ziemia..."

Autor przedstawia swą teorię na temat Słońca:

„Jakże niedorzeczna jest myśl, że średnica Słońca wynosi miliony mil i że odległość jego od nas równa się 91 milionów mil! Średnica Słońca wynosi tylko 32 mile, jego odległość od nas nie przekracza 3000 mil. Tak musi być i żadne rozumowanie tutaj nie pomoże..."

Ten brzuchaty, łysy pan o ponurym wyrazie twarzy, ubrany zwykle w zmięty surdut z olbrzymimi białymi mankietami, uważał wszystkich astronomów za „biednych, ciemnych i zarozumiałych głupców". Wielokrotnie przepowiadał koniec świata i mimo iż ten nie następował w oznaczonych terminach, głosił nadal: „...dopiero rozpocząłem swoje prawdziwe dzieło. Nawrócę resztę stanów, a następnie również i Europę. Każdy, kto walczy przeciwko mnie, padnie! Cmentarze pełne są tych,

stety, i w tej sprawie się mylił...

DZIURY SYMMESA

Kiedy kapitan piechoty amerykańskiej John Cleves Symmes wrócił do domu z wojny w 1812 roku, witano go zapewne bardzo serdecznie, gdyż w czasie walk wyróżnił się wyjątkową odwagą. I niewiele brakowało, a resztę życia przeżyłby jako bohater otoczony powszechnym szacunkiem.

Stało się jednak zupełnie inaczej...

Oto w roku 1818 ogłasza bowiem ni stąd, ni z owąd — iż doszedł do wniosku, że Ziemia składa się z pięciu kul schowanych jedna w drugiej. Kule są puste w środku i każda z nich ma dwa otwory na biegunach, przez które do środka wlewa się ocean. Otwory te zwane później „dziurami Symmesa" nie schodziły ze szpalt gazet, a nawet obrad Kongresu, przez wiele następnych lat. Bowiem autor owej teorii resztę swego życia poświęcił wyłącznie na organizowanie nigdy nie dochodzących do skutku wypraw na któryś z biegunów. Nachodził instytuty charytatywne, wygłaszał odczyty jeżdżąc po całych Stanach, apelował do Kongresu USA — wszystko po to, aby wreszcie udowodnić, iż jego wymarzone dziury rzeczywiście istnieją, a wewnątrz dziurawej Ziemi żyją ludzie, zwierzęta i rośliny.

Teoria jego zyskała sobie kilku zwolenników. Ukazały się nawet na ten temat dwie książki, jedną z nich napisał syn „wynalazcy dziur", Americus Symmes. Dowodzi na jej kartach, że planeta pusta wewnątrz, a zamieszkała również od środka, daje w wyniku największą oszczędność materiałów i z tego właśnie powodu musi być rzeczywistością.

Ciekawa rzecz: wiara w Ziemię podobną do pustej w środku piłki datuje się od dość dawna. Symmes nie był jej twórcą, choć święcie w to wierzył i wpadał w szał jeśli ktoś poddawał w wątpliwość jego oryginalność w tym względzie. Podobne poglądy głosił m.in. astronom angielski Edmund Halley, ten, którego imieniem została nazwana słynna kome-

ta. W broszurze ogłoszonej przez siebie w roku 1962 dowodzi, że Ziemia składa się z kilku zamieszkałych przez żywe istoty warstw, a między nimi znajduje się świecący gaz. Zorze polarne mają być na to dowodem, ponieważ gaz ów ulatnia się na biegunach, jako że wierzchnia warstwa Ziemi jest tam cieńsza.

ŻYJEMY W ŚRODKU

Jeszcze dalej w swych absurdalnych dowodzeniach zapędził się lekarz C. R. Teed. Postanowił on rozprawić się za jednym zamachem z całą astronomią i w roku 1870 ogłosił swą teorię bijącą na głowę wszystko, co do owego czasu wymyślili poprzedzający go szaleńcy.

Tak więc według Teeda wygląda Kosmos:

Jest podobny do jajka. W jego wnętrzu mieści się wszystko, a więc Słońce, gwiazdy, inne planety oraz komety. Księżyc został przez Teeda usunięty — jest bowiem tylko odbiciem Ziemi — naucza autor teorii. My wszyscy — co jest zupełnie dla niego jasne — żyjemy na wewnętrznej stronie skorupki owego kosmicznego jajka. Słońce jest w jego środku, ale nie widzimy go, gdyż jest niewidoczne. Światła dostarcza nam jego odbicie. W ogóle Teed uważa, że wszystko co widać na niebie, to odbicia różnych innych tajemniczych ciał, których nie widać. Np. planety są odbiciami: „tarcz rtęciowych unoszących się między warstwami metalowych płaszczyzn".

Na zewnątrz naszego jajka nic nie ma i nigdy niczego nie było. Nie warto się więc tymi okolicami zajmować.

Teed, zwany „zwariowanym doktorem", był znakomitym mówcą. Niewysoki, gładko ogolony, nosił „płaszcz w stylu księcia Alberta, czarne spodnie, rozwiewający się krawat z białego jedwabiu i miękki czarny kapelusz z szerokim rondem." Przez 38 lat niezmordowanie głosił swe poglądy, wydawał pisma, pisał książki, atakował uczonych wyzywając ich od „oszustów", „szarlatanów" i „antychrystów". Założył nawet miasto na Florydzie i nazwał je Nowa Jerozolima. Wg jego przewidywań miało tam zamieszkać osiem milionów wiernych. Zamieszkało dwustu. Przepowiedział też swe zmartwychwstanie i obiecał, że

wszystkich swych wyznawców żywcem zabierze do nieba...

Kiedy umarł w 1908 r. pismo „Płonący miecz", założone i prowadzone do końca przez niego, nie zamieściło nawet wzmianki, choć w dalszym ciągu, aż do 1949 roku, walczyło zaciekle w obronie wklęsłości Ziemi.

Oprac. J. DĄBROWSKI

O ZIEMI

płaskiej, dziurawej i pustej

którzy chcieli mnie obalić".

Umarł w roku 1942, mimo iż wierzył święcie, że własnoręcznie opracowana dieta z maślanki i orzechów brazylijskich pozwoli mu żyć 120 lat. Nie-

---

czenia przeplatajcie walką kogutów ze zmianą nogi, na której skaczecie. Nie przepychajcie się jednak, ale doskakujcie do partnera. Pamiętajcie o dawkowaniu ćwiczeń i powtórzeniu tych z poprzedniego tygodnia.

CHODZENIE DO TYŁU I „WĘŻYK"

Tydzień temu uczyliśmy się chodzić w przód. Dziś nauka chodzenia tyłem. Już na samym początku treningu starajcie się nie wykrzywiać nóg, ani na zewnątrz, ani do wewnątrz, nie pochylajcie się zbytnio do przodu, nie chodźcie na sztywnych nogach. Prawidłowa pozycja wygląda następująco: palce razem, pięty rozchylone — odwrotnie niż przy chodzeniu przodem, kolana lekko skierowane do środka, nogi ugięte, ręce na wysokości bioder. Chodząc, należy odrywać nogi od lodu.

Jazdę tyłem na dwóch nogach rozpocznijmy w następującej postawie: nogi w lekkim rozkroku, lewa noga mocno ugięta w kolanie, prawa wyprostowana. Ciężar ciała na ugiętej nodze. Prostując tę nogę, a zginając wyprostowaną trzeba przenieść ciężar ciała powtórnie na nogę ugiętą. Żeby uzyskać poślizg na lodzie, należy nogę wyprostowaną pociągnąć do tyłu. W ten sposób będziemy jechać w tył po linii wężykowatej.

ZATRZYMYWANIE SIĘ I HAMOWANIE

Jest wiele sposobów zatrzymywania się i hamowania. Najprostszy — to zatrzymywanie się tylko częścią jednej łyżwy. Jadąc na dwóch nogach, należy złączyć ugięte kolana, następnie wysunąć do przodu jedną łyżwę i jed-

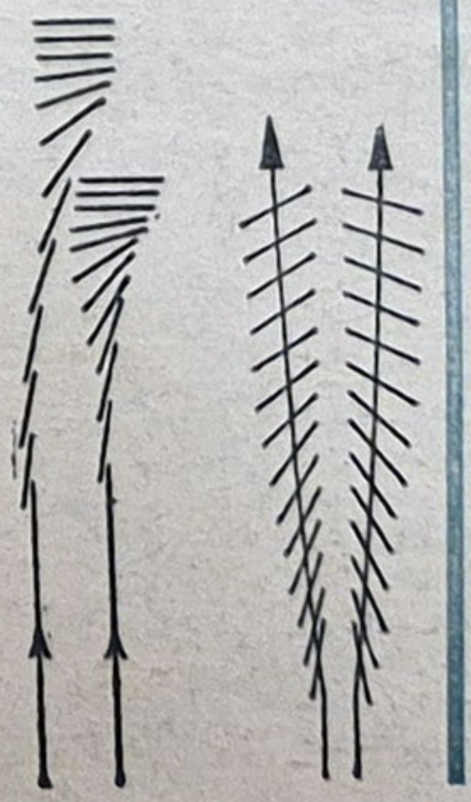

nocześnie unieść jej czubek do góry. Tylną częścią łyżwy mocno naciskamy na lód. Wydajniejsze jest zatrzymywanie się półpługiem. Wykonujemy je poprzez wysunięcie jednej łyżwy w przód i oparcie się na wewnętrznej krawędzi tej łyżwy. Przy stosowaniu całego pługu, a więc ustawianiu obu łyżew pod dużym kątem do kierunku jazdy, odpychamy tyły łyżew na zewnątrz, a czubki zbliżamy do siebie. Przy obu tych sposobach trzeba pamiętać o nieznacznym odchyleniu tułowia do tyłu.

Po opanowaniu hamowania i zatrzymywania się pługiem można przejść do hamowania łyżwami, ustawionymi równolegle. Po ustawieniu łyżew równolegle ćwiczący przez lekkie podrzucenie ciała ku górze odciąża łyżwy, a jednocześnie zwraca je pod kątem prostym do dotychczasowego kierunku jazdy i lekko odchyla się przeciw temu kierunkowi.

Na przedstawionym rysunku pokazujemy wam jak powinny wyglądać ślady po wykonaniu hamowania pługiem (z lewej strony) i hamowaniu obunóż równolegle (z prawej strony). Porównajcie je ze swoimi śladami. Dopiero wtedy, kiedy będą one identyczne, można będzie mówić, że hamujecie prawidłowo. (zp)

Uwaga! Następny numer naszej „szkoły" ukaże się w dniu 11 stycznia 1974 roku.

CZARNA MAGIA czy ZŁUDZENIA

MAGIC SHOW 73

W październiku i w listopadzie mieszkańcy Wrocławia, Zielonej Góry, Warszawy i Bydgoszczy podziwiać mogli II Międzynarodową Rewię Iluzji zorganizowaną przez Woj. Agencję Imprez Artystycznych i Redakcję „Wieczoru" z Katowic.

Słysząc o występach sław iluzji CSRS, Danii, Holandii, NRF, Polski, Węgier i ZSRR postanowiłem i ja upewnić się, że w magię i czary nie wierzę. CZEGO JA NIE WIDZIAŁEM! — Czego? — Nie widziałem jeszcze nigdy, aby ktoś wyjmował spomiędzy kartek zwykłej książki radio; połykał jak Mikołaj Bykow piłeczki ping-pongowe, które później wypadały mu z obcasa lub palił jednocześnie kilkanaście papierosów chowając je zapalone w rękawach, kieszeniach (i nie wypalając przy tym dziur w ubraniu, jak niejeden „palacz-konspirator"); by ktoś, jak Duńczyk Samson chował w butonierce pudło po butach i kilkumetrową „chusteczkę"! Nie widziałem (choć wpatrywałem się do łez), gdzie podziało się jajko, które przed chwilą trzymał w ręku Polak Lemano-Lemanik!!!

— A co widziałem? — Widziałem karty, których nie ma, choć być powinny, które pojawiają się i znikają, mnożą i zmieniają w inne w dłoniach mistrza świata Tonny van Dommelena, a potem, w czasie przerwy, widziałem swoją głupią minę w lustrze!

Czego to magik nie wyczaruje...

Kunszt średniowiecznych wiłów, magów i czarnoksięźników ożywa w popisach mistrza. I choć nikt nie posądza pana Dommelena o kontakty z diabłem, trudno uwierzyć w „naturalne pochodzenie" jego sztuki. W Polsce jest już drugi raz i włada nieco naszym językiem, choć nie tak biegle, jak kartami i kośćmi do gry, które w jego rękach zdają się ożywać. Karty tasują się „same" w powietrzu, rozciągają w metrową harmonię, pojawiają się i znikają na wezwanie!

Wiele braw zebrał również wesoły Duńczyk Samson-komik pomiędzy magikami, który całą, nie najmniejszą przecież, scenę Sali Kongresowej zapełnił kolorowymi stolikami i kwiatami w wazonach. Pochylił się tylko, podskoczył, machnął ręką i już trzymał w niej kolejny bukiet metrowych kwiatów! Nie przestawał przy tym nucić i uśmiechać się czarująco do i tak już oczarowanej publiczności! Śpiewający czarodziej!!!

Zdumienie wywołał też występ iluzjonisty z Węgier... kobiety! Piękna Aniko w długiej, lśniącej sukni wniosła do popisów zręczności poezję. Kolorowe kwiatki unoszą się jej nad głową, grochy strzepnięte z chustki tańczą w powietrzu, by po chwili „zmęczone" wrócić na swoje miejsce i stać się znowu tylko namalowanym wzorem, który oczywiście „nie odkleja się" mimo strzepnięcia!!! Nawet parasol zmienia się w ręku pani Aniko w bukiet kwiatów! Ale i harcerze mogliby wiele się od niej nauczyć — choćby wiązania węzłów! Jednym niedostrzegalnym ruchem „magiczka" potrafi mocno związać dwa kawałki sznura lub rozsupłać najgrubszy węzeł!

Sztuka, jaką zademonstrował artysta polski Lemano-Lemanik odkryła przede mną granice magii. Oto prestidigitator (cóż za słowo!) poprosił o pomoc młodych widzów. Trzech ochotników otrzymało za zadanie wybrać którąś z dziesięciu kart. Jeden z chłopców trzymał je teraz w wyciągniętej ręce, z której wybrana karta miała „przenieść się" mocą magicznego strzału z pistoletu do leżącego obok balona. Do przykrycia kart potrzebna była chusteczka. By nie narazić się na podejrzenia o oszustwo, artysta poprosił chłopców o pożyczenie mu chustki. Żaden nie miał! Na nic nie zdały się czary, magik musiał użyć własnej!!! Padał strzał i balon pękł! W środku znajdowała się wybrana karta! A co mnie zdziwiło najbardziej — iluzjonista wyjawił, że nie wie sam na czym ta sztuka polega!

Na czym to polega?

Drugiego dnia występów wybrałem się więc za kulisy, aby podejrzeć tajemnice magików. Pomyślałem też i o was — postanowiłem poprosić specjalistów od cudów o jakiś czarodziejski sposób na klasówkę, przepis na niewidoczne ściąganie... Niestety, dowiedziałem się, że cudów nie ma! Pierwszym, kogo spotkałem był wesoły Samson. Nucił sobie nawet prywatnie, za sceną i ubierał się. Obok niego stał duży wiklinowy kosz pełen stoliczków i kwiatów. Wkładając kolejną część garderoby sięgał do kosza, zawijał w niepojęty sposób swoje bukiety, tak, że stawały się całkiem małe i chował je pod ubraniem. Po chwili stał przede mną w pelerynie i w cylindrze — kosz był pusty!

— Ach to tak! — powiedziałem — zamiast czarów sztuczne dobrze ukryte kwiaty! To może i Duńczykiem pan wcale nie jest?

Był chyba jednak prawdziwym Duńczykiem, bo powiedział coś w tym języku (najprawdopodobniej) i błyskawicznie wyjął z rękawa jeden ze stoliczków! Trzeba przyznać, że zrobił to tak zręcznie, że nie spostrzegłem nawet, z którego! „To też sztuka" — pomyślałem i podziękowałem mu za „wywiad".

Pan Lemanik przyjął mnie w garderobie. Zapytałem szeptem, czy nie zna pan jakiegoś sposobu idealnego ściągania? Zamyślił się.

— Po pierwsze — powiedział — iluzjoniści to najuczciwsi ludzie; my tworzymy tylko złudzenia, nie staramy się nikomu wmówić, że nasze „cuda" są prawdziwe, chętnie wyjawiamy sekrety iluzji, tyle, że ich wykorzystanie wymaga wielu lat pracy! Ale czy uczniom wystarczą złudzenia?

— A ile lat trzeba by się uczyć, aby opanować jakąś sztukę? — zapytałem z resztką nadziei.

— Niech pan patrzy... — pan Lemanik pokazał mi jajko, które utrzymywało się pod spodem dłoni jak przylepione — to nie klej, to mięsień! — Odwrócił dłoń i ujrzałem wypukły mięsień tam, gdzie nie podejrzewałem nawet jego istnienia! — Wymaga to stałego treningu całymi latami!

Teraz dopiero zauważyłem, że siedzący obok Rosjanin Bykow cały czas przebiera palcami, ćwiczy! Chciałem to zanotować, lecz zginął mi znów długopis.

— Proszę bardzo, oto on, a niech mi pan odda moje jajko — i magik wyjął mi je z kieszeni! Tym razem była to z pewnością magia!

Mikołaj Bykow wyjaśnił mi jeszcze, że zawód iluzjonisty wymaga obok zręczności — dużej fantazji. Sam był wiele lat żonglerem, lecz iluzja pociągała go bardziej właśnie jako sztuka wymagająca pomysłowości. Przyznaję, że oryginalny pomysł to wiele — spójrzcie na zdjęcie obok: Tamesis i Eleisa — para z NRF, demonstrują szafę, w której znika część ciała człowieka — ale jak oni to robią?

J. GOSTKOWSKI

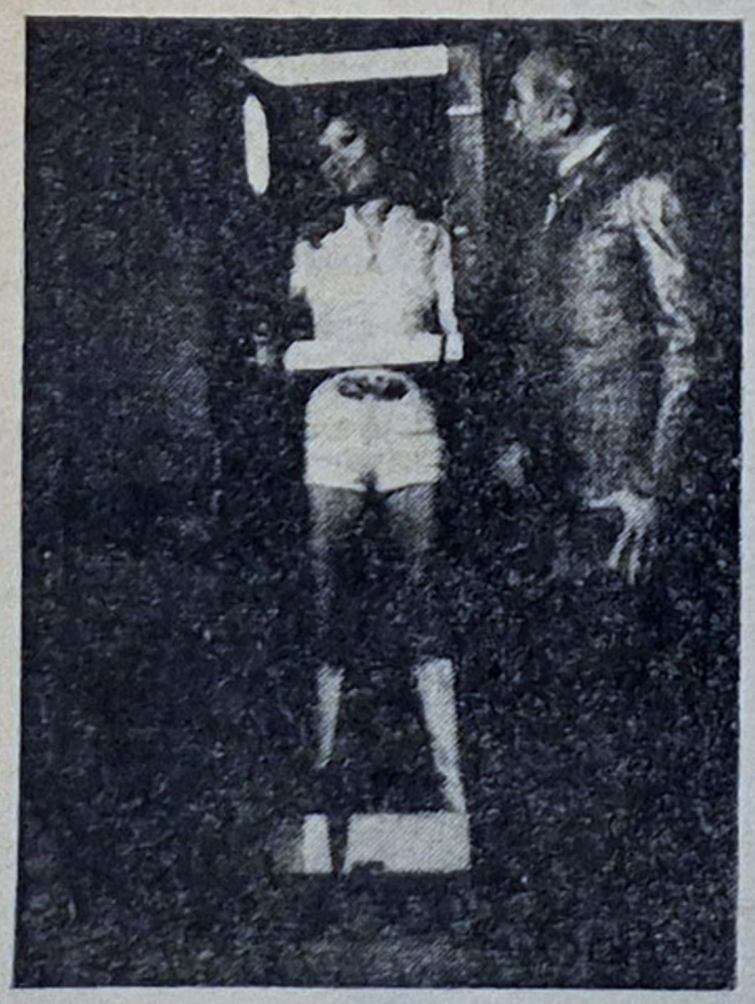

Eleisa wchodzi do „magicznej szafy", którą z tajemniczą miną zamyka pan Tamesis. Widać tylko twarz i dłoń jego partnerki...

Mistrz wysuwa środkową część szafy i... ciało Eleisy „wyparowuje"! Nikomu nie udało się dotąd rozszyfrować tajemnicy tej sztuki. Dowiedziałem się tylko, że pani Eleisa bardzo dba o linię — ale jaki ma związek przestrzeganie diety z czarami?

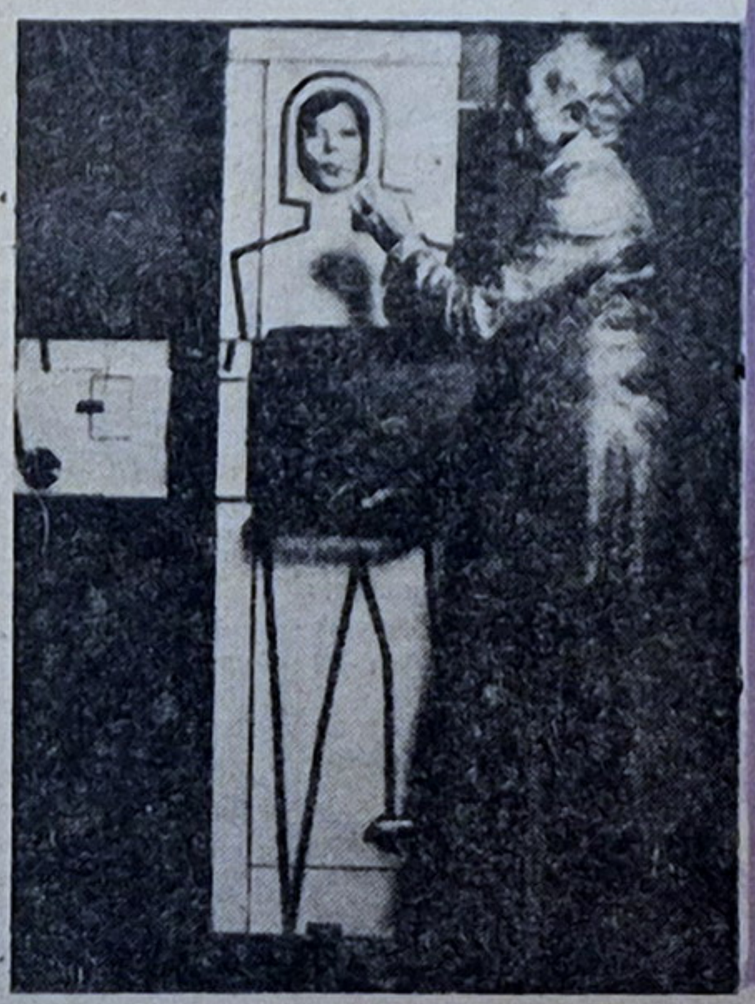

Kolędziołka dla dozorcy domu

(Na melodię kolędy „Wśród nocnej ciszy")

Panie dozorco, gospodarzu nasz,
Życzymy żebyś miał pogodną twarz,
chociaż dzieci brojà czasem,
nie przeganiaj dzieci pasem,
bo sam dzieci masz.

WYWIAD z CHOINKĄ

Nasz specjalny wysłannik RZEP zawędrował na plac sprzedaży choinek i przeprowadził z dużą choinką mały wywiad:

RZEP: Co Pani lubi?

CHOINKA: Lubię mieć dobry fundament, żeby się nie chwiać w posadach i nie doznać przewrotu. Dobry jest do tego szeroki krzyżak, mocno zaklinowany od spodu, albo metalowa oprawka.

RZ.: A jeśli chodzi o wysokość?

CH.: Każda wysokość dla choinki jest dobra. Ponieważ ja jestem duża, najlepiej się czuję, gdy mój wierzchołek jest odległy co najmniej o 1 m od sufitu. Wtedy mam pewność, że nie zakopcę sufitu świeczkami i że moim domowym przyjaciołom łatwiej będzie je zapalać bez ciągnięcia mnie za gałęzie.

RZ.: Z tego wynika, że lubi Pani świeczki?

CH.: Tak, ale tylko wtedy, gdy są one dobrze osadzone w lichtarzykach i ustawione pionowo, z dala od sąsiednich gałązek i łatwopalnych ozdób.

RZ.: To znaczy, że nie przepada Pani za ozdobami z papieru, waty itp.

CH.: Zgadł Pan, ale tylko częściowo. Lubię je, ale nie w nadmiernej ilości i rozmieszczone tak, zwłaszcza łańcuchy, żeby nie dosięgnął ich płomień nawet przechylonej czy przewróconej świeczki.

RZ.: A jak się Pani zapatruje na elektryfikację?

CH.: Uwielbiam wprost oświetlenie elektryczne, ale tylko wtedy, gdy wszystkie kable mają dobrą izolację i oświetlenie jest dokładnie sprawdzone, zanim dostanie się na moje gałęzie.

RZ.: A jeżeli mimo to lampki zaczynają migać, przewody się nagrzewają, gdzieś zaczyna coś iskrzyć?

CH.: Wtedy trzeba natychmiast wyłączyć oświetlenie z sieci i naprawić uszkodzenie.

RZ.: Czego Pani nie lubi?

CH.: Nie lubię stać przy oknie z firankami i blisko łóżka. Nikt nie jest w stanie przewidzieć, czy płonąca świeczka nie zajmie ogniem firanki albo nie spadnie na poduszkę lub kołdrę.

RZ.: A czego Pani nie lubi najbardziej?

CH.: Lęk, a nawet przerażenie ogarnia mnie na myśl, że dzieci będą zapalały świeczki lub „zimne ognie" bez obecności dorosłych. Najbardziej jednak nie lubię, kiedy zostawia się mnie samą w pokoju z zapalonymi światłami. Czuję się wtedy jak podpalacz...

RZ.: A czy moja podobizna nadaje się na choinkową ozdobę?

CH.: Oczywiście. Przecież Pan to sama radość i dowcip.

RZ.: Dziękuję Pani. A naszym czytelnikom w imieniu Pani, swoim i Związku Ochotniczych Straży Pożarnych życzę samej radości, wesołych gości oraz strażaków nieobecności.

RZEP

✲

PS. Wszystkich czytelników zapraszam do błyskawicznego konkursu na ozdobę choinkową w postaci mojej podobizny. Prace te będą zdobiły choinkę redakcyjną, a 10 najlepszych twórców zostanie przyjętych do Rzep-Klubu i otrzyma znaczki z moim wizerunkiem. Termin wysyłania ozdób — do 27 grudnia.

Choinka już czeka. Zielona, pachnąca, trochę kłująca. Trzeba ją będzie jeszcze przystroić szklanymi bombkami, łańcuchami, lampkami i... nadejdzie ten wieczór, gdy wchodzisz do pokoju i patrzysz — choinka, a pod nią paczki, paczuszki, wielkie paki! Prezenty gwiazdkowe. Niektóre z nich położyłeś pod nią sam. Tak jak twoje koleżanki i koledzy, których wynurzenia gwiazdkowo-prezentowe dzisiaj zamieszczamy.

● Postanowiłam podarować mamie wykonany własnoręcznie na drutach wełniany szalik, ponieważ mama często nabawia się kataru.

Gdybym miała bardzo dużo pieniędzy, to podarowałabym swym rodzicom piękny dom nad morzem i samochód .

Małgorzata

● Prezenty gwiazdkowe kupię, bo nie posiadam zdolności plastycznych i nie potrafiłabym zrobić niczego, co by się na prezent nadawało. Mam trochę pieniędzy — latem pracowałam na wsi, resztę uskładałam z kieszonkowego. Mamie chcę dać ładny mohairowy szal, a tacie wymarzonego Fiata 126p — oczywiście miniaturkę. **„Tucha"**

● Wyszywam dla mamy serwetkę na szarym płótnie, a dla taty zrobię fajkę z korzenia, który znalazłam w czasie letniej wycieczki.

Wolałabym podarować mamie zamiast serwetki jakąś ładną chusteczkę i mama by się bardziej ucieszyła, ale niestety nie mam pieniędzy. **Basia**

● Sprzedałem swoje stare narty i czuję się bardzo bogaty. Nigdy nie miałem na prezenty gwiazdkowe aż 250 zł. Nareszcie będę mógł podarować swoim „staruszkom" coś naprawdę szałowego!

Paweł

● Chcę kupić rodzicom jakąś ładną płytę, aby mogli sobie uprzyjemnić czas. Oni lubią słuchać muzyki, a ja myślę, że czym płyta będzie weselsza — tym prezent lepszy. Chcę, aby rodzicom było wesoło. **Bogusia**

● Kupiłem mamie książkę, bo mama bardzo lubi czytać. Wiem, że marzyła o nowej czapce, ja nawet miałem uskładaną dostateczną ilość pieniędzy, ale cóż... nie było takiej czapki w naszym sklepie.

Wiesiek

● Gdybym była dorosła i zarabiała, to kupiłabym moim rodzicom piękne prezenty. Tacie magnetofon i dobry aparat fotograficzny, a mamie biały mohairowy sweter i ładny kożuch. Chciałabym bardzo jakoś odwdzięczyć się im za to, że mnie kochają, za ich troskę i wysiłek włożony w moje wychowanie. Ale niestety... co ja mogę teraz?! Udało mi się uskładać 84 złote — co za to można kupić dwóm osobom? Mogę zrobić coś szydełkiem lub na drutach, ale mama robi i lepiej i ładniej ode mnie. Przygotuję oczywiście jakieś drobiazgi, ale na prawdziwy prezent rodzice muszą parę lat poczekać. **Dorota**

Wypowiedzi zebrały:
HANNA CUDOWSKA
I BARBARA SKÓRSKA

Tak to dawniej w wigilijny wieczór bywało

W mroźny dzień, gdy wiatr układał śnieg w zaspy, odwiedziłam Szkołę Podstawową w Tychowie Starym, odległym o kilkadziesiąt kilometrów od Kielc.

Maleńka, zimna kancelaria, której nie ogrzewa nawet gorący piec. Zasiadam przy biurku dyrektora, p. Dąbrowskiego, gościnnie przezeń częstowana pachnącą kawą. Jak to przed świętami, zwłaszcza na wsi, gdzie tradycje żyją jeszcze w wielu domach, niebawem zeszliśmy na rozmowę o zwyczajach świątecznych. Na ten temat dyrektor ma wiele ciekawego do powiedzenia. Urodził się bowiem i wychował na wsi, w Jaworskiej Woli, niedaleko Iłży.

— Bywało — rozpoczął że na każdą wigilię gospodarze zapraszali bliższą i dalszą rodzinę — często zbierało się i ponad dwadzieścia osób. Zanim wszyscy zasiedli do suto zastawionego stołu i zabrali się do zjadania wigilijnych potraw, a to: barszczu czerwonego lub białego z kapustą, kasz: jęczmiennej, gryczanej, czy jaglanej (z olejem lub śliwkami), pierogów z kapustą, paluszków z makiem — dzieci biegały wśród opłotków wypatrując pierwszej gwiazdki. Jak się tylko pojawiła, z rumorem wpadaliśmy do izby. Matka przystawiała stołki do stołu i dopiero rozpoczynało się pałaszowanie potraw, od zapachu których i z głodu leciała nam ślinka przez cały dzień.

Gdy się już nieco podjadło, u drzwi rozlegało się głośne tupanie i chrobotanie. To nasz dom odwiedzali goście — bliżsi i dalsi sąsiedzi. W taką wędrówkę po całej wsi najczęściej wybierali się sami mężczyźni. Matka zazwyczaj podejmowała ich pierogami. Wyciągali więc łyżki zza cholew — i niebawem z misek wszystko znikało.

Późnym wieczorem, syci i zadowoleni, rwalismy się do snopka ustawionego w rogu izby, by słomą zarzucić obrazy, ławy i szafki. Przy sposobności chłopcy wiązali powrósłami dziewczyny, by... szybciej rosły. Gospodarz w asyście rodziny wychodził do ogrodu i wiązał także drzewa. Pukał w nie przy tym i pytał: „Będziesz rodziło?". Najczęściej uzyskiwał odpowiedź twierdzącą. Pochodziła ona od osoby ukrytej za pniem... Bywało, że i dziewczynki przyłączały się do zabawy. Wychodziły do drewutni po drzewo. Jak drwa były do pary, to mąż w Nowym Roku się szykował. Gospodarz odwiedzał też bydło, częstował je kolorowymi opłatkami i wyciągał wodę ze studni, by się w wino przemieniła.

Do dziś odwiedzam swoją wieś rodzinną. Przetrwały tam jeszcze niektóre ludowe zwyczaje świąteczne, które co roku wydają mi się nowsze i ciekawsze.

Opowieści wysłuchała:
B. SKÓRSKA

Przylądek Rozewie jest najbardziej wysuniętym na północ punktem Polski. Tu właśnie, na wysokim, sięgającym 54 m nad poziom morza brzegu klifowym, wznosi się 27-metrowa wieża latarni morskiej. Dla uczczenia pamięci Stefana Żeromskiego, który w okresie pisania „Wiatru od morza" bywał tu częstym gościem, latarnia nosi jego imię.

NOC W ROZEWSKIEJ BLIZIE

Na kamienne schodki wiodące do ciężkich, kutych z żelaza drzwi wspinam się po omacku. Nie tylko dlatego, że jest już zupełnie ciemno. Zamieć zalepia oczy śniegiem i tu, na wzniesieniu, wichura hula w huraganowych porywach.

Drzwi są zamknięte, ale wiem, że o tej porze zostanę tu wpuszczona. Przyszłam od strony morza i wyglądam prawie jak rozbitek. Stare, sprzed wieków prawo, każe udzielać rozbitkom schronienia. W każdej latarni morskiej, na wszystkich morzach świata, istniały specjalne izby dla ludzi, którzy z decydującej walki z żywiołem uszli cało.

W SŁUŻBIE KRÓLOWEJ

Latarnia na Rozewiu — czyli w kaszubskim języku bliza — jest królową Bałtyku. Królewską koronę stanowi obrotowy stół z ogromną żarówką, która dzięki całemu systemowi pryzmatów i wklęsłej soczewce, daje światło o sile 5 milionów świec. Kierownik radiolatarni, pan Władysław Wzorek, przyprowadził mnie na samą górę, by pokazać całe to urządzenie.

— Na czym właściwie polega pana praca? — pytam kierownika — bo wiem, że obecną latarnię uruchamia się przez przekręcenie odpowiednich kontaktów.

Pan Wzorek spogląda na zegarek. Za kilka minut musi nadać telefoniczny meldunek do Gdańskiego Urzędu Morskiego w Gdyni. Praca w radiolatarni to nie tylko przekręcanie kontaktów i przyciskanie guzików.

— Kiedyś na przykład — był to rok 1955, dzień 17 stycznia — badałem grubość lodu przy brzegu. W pewnym momencie spoglądam w górę i widzę, że coś z chmurami nie tak. Dalej, gdzie morze nie zamarznięte, fale jakieś takie zbełtane... Wracam na górę, dzwonię do Gdyńskiego PIHM-u. Mówię, że lada chwila coś się stanie, bo chmury niecodzienne i morze dziwne. Nie minęły 22 minuty, zerwał się wiatr, o szybkości ponad 30 metrów na sekundę! Długość fali doszła do 7 metrów, co jest zjawiskiem niespotykanym na Bałtyku. Do tego zasnuła wszystko mgła i rozszalała się śnieżyca. Nieprawdopodobne? Na morzu, a szczególnie tu, przy Rozewiu, gdzie ścierają się przeciwstawne sobie prądy, wszystko jest prawdopodobne. Na szczęście nasze meldunki powodują błyskawiczne ostrzeżenie jednostek znajdujących się na morzu.

Oczywiście pracy obecnych latarników z dawnymi porównać się nie da. Jedynie niezmiennie odpowiedzialność jest taka sama jak przed stu, dwustu, czy pięciuset laty.

LEGENDA I PRAWDA

Przed wiekami, może nawet przed tysiącami lat, latarnię tworzył stos płonącego drzewa. To drzewo musiał ściąć, porąbać i ułożyć sam latarnik. Później wybudowano wieżę, na której szczycie płonęła w kotle smoła. Jeszcze później, w ceglanej wieży, tej stojącej kilkaset metrów dalej, paliła się lampa naftowa...

Legenda mówi, że pierwszą rozewską latarniczką została dziewczyna, gdy pewnej nocy, wichura rozbiła o skały rybacki żaglowiec. Z całej załogi uratowała się jedynie ona. Odnalazł ją na brzegu miejscowy rybak. Tej nocy oboje rozpalili ogromny stos dając znak tym, którzy zostali na morzu, gdzie się brzeg znajduje. Rano tuż przy przylądku woda odsłoniła czarny potężny głaz. Głaz ów nazwano imieniem Frank, od imienia ojca dziewczyny, którego zabrało morze.

Wichura uderza o ściany wieży. Pan Wzorek nadaje kolejny komunikat o sile wiatru i sytuacji śniegowej.

Funkcja latarników przez całe wieki przechodziła z ojca na syna. Mimo tego każdy nowy rozewski latarnik składał na rynku w Pucku publiczną przysięgę na wierność. Praca ta wymagała bowiem niezwykłej odwagi. W owych latach latarnie zaopatrzone były w żywność, co przyciągało przeróżnych lekkoduchów, nieraz też zdarzało się, że latarnika zabijano, ogień gaszono, aby zwabić w pułapkę żaglowce wiozące bogate towary. Dlatego zaczęto budować wieże obronne, o żelaznych drzwiach i okienkach osadzonych wysoko. Mimo tego tu, na Rozewiu, najeźdźcy szwedzcy przed ponad trzema wiekami zabili latarnika.

Historia się powtarza. We wrześniu 1939 roku latarnik okresu międzywojennego, Leon Wzorek, nie opuścił stanowiska. Na morzu znajdowały się jesz-

Rys. M. Kościelniak

Z dna SZUFLADY

„Wyjąłem z dna szuflady album z dawnych lat..."

Tak, właśnie tak było. Szuflada wysuwała się ciężko, była ogromna, głęboka i tkwiła w biurku znajomej pani, równie solidnym i staromodnym jak wszystko, co znajdowało się w tym domu.

Wyjąłem więc album i rozłożyłem go na stole. **„To pamiątka po mojej zmarłej babci"** — powiedziała aktualna właścicielka biurka i zostawiła mnie w pokoju. A ja, szperając pomiędzy kartkami pełnymi zdjęć, natknąłem się nagle na stare, niektóre ponad osiemdziesięcioletnie pocztówki.

Daty na stemplach pocztowych świadczyły o tym, że karty owe wysłane zostały w 1890, 1896, w 1901 i 1926 roku. Było ich sporo, prawie pięćdziesiąt. Wszystkie zapełnione drobnym, równym pismem tak szczelnie, że gdyby ktoś chciał jeszcze coś na nich dopisać — nie znalazłby ani skrawka wolnego miejsca. I wtedy pomyślałem sobie jakie pocztówki sam dzisiaj otrzymuję. Czytam na nich zdawkowe: **„Pozdrowienia od X-a"**, Czasami ktoś doda: **„serdeczne"**, albo jakieś post scriptum. Wiem, ile kłopotu mają zawsze moi znajomi, kiedy przychodzi im wypełnić całe niewielkie przecież miejsce przeznaczone na korespondencję. A tymczasem na tych kolorowych, bogatych kartach z przełomu XIX i XX wieku można wyczytać całe epopeje, niemalże reportaże...

We Francji, kiedy zapanowała moda na pocztówki, produkowano ich rocznie ponad 50 milionów sztuk. Ówcześni Europejczycy wyraźnie woleli ten rodzaj porozumiewania się niż tradycyjny list. I jakże pięknie to robili!

Przekładam karty, na których widnieją jeszcze takie adresy, jak: **„Królestwo Polskie", „Ziemia Warszawska", „Gubernia Lubelska"** i poznaję dokładnie ich treść. I oto z tych drobnych, starannie ustawionych rządków liter zaczyna przemawiać do mnie historia dwojga bliskich sobie, kochających się ludzi — ojca i córki. On, komiwojażer, handlowiec, odbywa ciągle podróże po kraju i zagranicy, sprzedając towary swojej firmy i zbierając zamówienia. Ona — na początku korespondencji dziesięciolecia uczennica konserwatorium — ma ciągłe kłopoty ze zdrowiem, jeździ po sanatoriach, często siedzi w domu, przykuta do łóżka. Oboje tęsknią, a w pokonaniu tęsknoty pomaga im ta pocztówkowa korespondencja, która dla niej, Hanki M. z Piotrkowa, jest jednocześnie lekcją geografii.

„Kochana Haniu! Dziwnie to życie nasze się plecie. Pomijając warunki mieszkaniowe, na domiar wszystkiego zajęcie moje jest ciągle tułacze i tak się składa, że w dniu dla Ciebie najpiękniejszym, w dniu Twoich imienin nie mogę być razem z Wami, by Was uściskać serdecznie. Jestem od Was oddalony o jakieś 1000 km. Przyjmij z tej oddali życzenia z głębi serca — zdrowia, wszelkiego dobra, poprawy naszych warunków. Doczekamy się chwili, widząc naszą Hanię szczęśliwą. Cieszcie się wspólnie świętem dnia Twojego, wspomnijcie o mnie, bo myślą, sercem i duchem zawsze jestem z Wami. Serdeczne tysiąckrotne ucałowania dla Was obojga przesyła Tatuś.

Targowica"

„Jestem od dwóch dni w Krynicy. Pogoda zmienna. Wieczorem dosyć chłodno. Nic w tem dziwnego, bo jestem na wysokości 800 metr. nad poziomem morza. Okolica prześliczna, jak również cała droga wiodąca nad Popradem i granicą Czecho-Słowacką. Zwiedziłem również Żegiestów. Jest to kotlina w górach, prześlicznie położona, lecz bardzo mała. Zaledwie długości 1/4 kilometra. Bardzo ładny widok jest z góry Łopata. Jutro wyjeżdżam dalej. Uściśnienia serdeczne, Tatuś".

„Serdeczne pozdrowienia przesyłam Tobie droga moja i Ciociom ze szczytu góry, gdzie dzień dzisiejszy przepędzam, a nawet tu w małym hoteliku nocować będę. Wspaniały dookoła widok na jeziora w dolinach i łańcuchy alpejskie. Jutro jadę do Zurichu. San Salvadore".

„Moje kochanie. Pisz do Bellagio i Lugano. Karty Twojej nie dostałem. Znów poczta nawaliła. (Skąd my to znamy? — przyp. W. P.). Tutaj jest ciepło i słonecznie, pogoda wprost cudowna. Codziennie biorę morskie kąpiele. Chciałbym, żeby moja mała żabka przyjechała tu kiedyś ze mną, gdy nie trzeba będzie jechać za poleceniem pryncy-

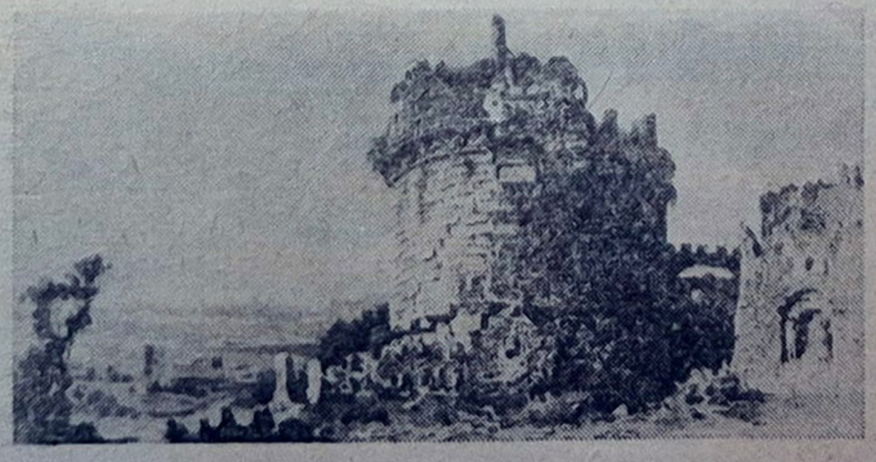

Pocztówka włoska

cze polskie okręty, jeszcze bronił się Hel, a tu już byli hitlerowcy. Rozewski latarnik został rozstrzelany w Piaśnicy, wraz z tysiącami Polaków, wiernymi jak on. Był to starszy brat pana Władysława.

SYRENY ZBAWIENIA

Wkomponowane w wycie wichury jękliwe odgłosy buczków mgłowych dodają tej nocy niesamowitości.

Rybacy nazywają te buczki „syrenami zbawienia". Ich głos dociera na wiele kilometrów w morze, gdy światło blizy nie zdoła się przedrzeć przez śnieżycę i mgły. Kiedy umiera okoliczny rybak, na miejsce wiecznego spoczynku odprowadza go właśnie głos syren przeciwmgłowych, niezależnie od pory dnia i pogody, bowiem los rybaków spleciony jest nierozerwalnie z latarnią.

Kiedyś przybiegła do latarni córka Fabisza, rybaka z dziadów pradziadów. Ojciec chciał widzieć pana Władysława. Już na miejscu stary rybak, który od dłuższego czasu nie opuszczał łóżka, wręczył panu Władysławowi trzy kłębki przędzy.

— To jest polska przędza — powiedział — przechowywana w naszym domu od dziesiątków lat. Pierwszy kłębek pochodzi sprzed pierwszej wojny światowej, drugi z okresu międzywojennego, ten ostatni uprzędziony został po drugiej wojnie. Teraz używa się sieci nylonowych. Ta przędza powinna pozostać na pamiątkę w naszej latarni...

Czas ucieka. Minęła północ. Wszystkie złe moce atakują rozewski brzeg. Pan Władysław twierdzi, że to Pyrdek Kosmaty spowodował taką wichurę.

OSTATNI ROZBITEK

Pyrdek Kosmaty — stary diabeł — kusił kiedyś przed wiekami rozewskiego latarnika, skarby mu za duszę obiecując. Znudziło się pewnej nocy latarnikowi słuchanie Pyrdka.

— Dobrze — powiedział — nie chcę twoich skarbów, ale zmierzysz głębokość morza przy Frankowej Skale. Ucieszył się diabeł, złapał wiosła, a latarnik przyciągnął ciężki, długi łańcuch. Kiedy już byli na miejscu, owiązał nim diabła, opuścił na dno, z reszty łańcucha zrobił pętlę i zarzucił ją na skałę. Zakotłowało się morze, ale latarnik nie czekał, powiosłował szybko do brzegu.

Teraz Pyrdek rozbija statki o skały...

— Ostatni rozbitek na Rozewiu to chyba również skutek zemsty starego diabła — [illegible] wiada pan Wzorek. — Było to w roku 1948, zeszedłem o świcie nad morze, na krótki spacer. Patrzę — na przybrzeżnych kamieniach tkwi kuter rybacki! Właściciel kutra siedzi i... płacze! Stracił na tych skałach majątek i cel życia. Rozewie jest znane z tego, że trzeba ten przylądek opływać w odległości siedmiu mil morskich, żeby nie wspaść w jakąś pułapkę... Okazało się, że ów mężczyzna kupił sobie nowy kuter w Gdańsku. Holownik ciągnął go do Ustki, by tam zamontować silnik. Kiedy przechodzili koło Rozewia, zerwał się hol.

Właściciel kutra chyba ze dwa dni nie jadł i nie spał. Obiecałem mu wreszcie, że zrobię co w mojej mocy. Poprosiłem o pomoc rybaków i marynarzy. Spychaliśmy ten kuter milimetr po milimetrze przez siedem dni! W międzyczasie przyjechała specjalna komisja z Gdyni. Wszystkim było bowiem wiadomo, że na tym brzegu nigdy nie ocalał żaden statek. Ale ten kuter po siedmiu dniach kołysał się na głębokiej wodzie. Tam już czekał na niego holownik...

☆

Świta. Pan Władysław po nadaniu następnego komunikatu, sięga po grubą teczkę z dokumentami. Wyjmuje z niej list. Napisała go Bożenka Gołębiowska po zwiedzeniu latarni. Czytam: **„Proszę pana, bardzo była ładna latarnia morska... Mam do pana wielką prośbę, żeby latarnia morska nigdy nie wygasła, i żeby wszystkie statki szczęśliwie wracały do portu".**

Tatuś Bożenki jest marynarzem...

Tekst i foto:
WIESŁAWA MROCZEK

KOLĘDZIOŁKA DLA TATY

(Na melodię kolędy „Pójdźmy wszyscy do stajenki")

Drogi tato, drogi tato,
ty masz w sercu zawsze la[illegible]
Nawet kiedy wkoło zim[illegible],
ty w kieszeniach rąk nie trzymasz!] bis

Hej przy tacie, hej przy tacie
można marzyć i o „Fiacie"...
Chociaż spory to wydatek,
chcemy „Fiatem" wozić tatę!] bis

KOLĘDZIOŁKA DLA DZIEWCZYNY

(Na melodię kolędy „W żłobie leży")

Chociaż trudno w to uwierzyć —
dziś śpiewamy u twych bram.
Nikt Cię kwiatem nie uderzy —
kwiatem się nie bija dam.
Nawet hultaj i szyderca
ma dla Ciebie wiele serca —
Ty też serce okaż nam!

KOLĘDZIOŁKA DLA CHŁOPAKA

(Na melodię kolędy „Dzisiaj w Betlejem")

Każda to powie —
miej dużo w głowie,
byleby nie troski.

Posłuchaj dziewczyn —
bądź w sile grzeczny
tak jak Baszanowski!

Bądź dla nas miły,
nie stosuj siły,
nie szukaj zwady,
bo nie dasz rady,

znajdź coś zamiast zgubić,
nie próbuj się czubić,
a będziemy ciebie lubić!

a wakacje. Mieszkam w
mku polskim, więc jest do-
rzystwo i się nie nudzę.
ię i Mamusię. Tatuś. Ni-

ane Moje. Już tak dawno
żadnych wiadomości, a ja
bo tutaj pociągi od ty-
ie chodzą. Przyczyna —
zaspy śnieżne, częściowo
e mając możności wyjazdu
awy, aby nie próżnować,
mi wyjeżdżam do Młyno-
w w drodze będę około ty-
Chcę jednak o sobie dać
ia, piszę tę kartkę w na-
do Was dojdzie. Otóż po-
zystko jestem zdrów i nic
dolega. W drodze ubieram
. Za 2 tygodnie myślę, że
Warszawie. Haneczko, nie
, pamiętaj o Tatusiu.
Całuję. Dubno"

anie Moje. Dzisiaj wracam
ennik do Sokółki w nocy.
siedzę na stacji w oczeki-
ciągu. Myśląc o Was prze-
stokrotne ucałowania oraz
a. Druskienniki jest to
ość kuracyjna (borowiny-
bardzo ładna, nad Niem-
ie po drugiej stronie rzeki
my Litwę. Na ogół bardzo
racji ładnych willji i cu-
brzegów rzeki. Haneczko,
lecz się".
m się, że mnie te pocztów-
yły. Ujęły mnie swym ser-
tonem, bogactwem opisu

(choć te kartki są nieraz mniejsze od dzisiejszych), niestereotypowością korespondencji. I pomyślałem, że kultura pisania kart pocztowych — jak to się mądrze mówi — nie jest u nas najwyższa, bo, z biegiem lat upada. Może dlatego, że jest coraz więcej telefonów, że nieraz o wiele łatwiej jest się spotkać, polecieć samolotem, pojechać pociągiem, samochodem niż skazywać się na usługi nie nadążających za tempem współczesnego życia listonoszy? Może... A jednak chciałbym czasami dostać taką choćby kartę:

„Mój kochany! Tu jest absolutnie wspaniale i lepszego określenia na tutejszy krajobraz nawet Ty byś nie znalazł. W czasie jednej z przechadzek natknęliśmy się na samotnie rosnący dąb, który ledwo pięć osób, trzymając się za ręce objęło! Wszystko tu w zupełnie innej skali, (dorodniejsze jakieś, bardziej monumentalne. Kiedy wczoraj — po tygodniu afrykańskich upałów — nad leśniczówką rozhulała się burza z piorunami, wydało mi się, że płyniemy w strugach deszczu po zielonym oceanie i że ta podróż nigdy się nie skończy. Takiej nawałnicy w życiu nie przeżyłam... Ściskam Cię serdecznie. Jola".

Dostaję bowiem zwykle następujące wiadomości od wychowanków wieku atomu: — *„Pozdrowienia z Koziej Wólki zasyła Jola. Pogoda i okolica ładna tylko raz padał deszcz. Pa".* **WOJCIECH PIELECKI**

Pocztówka polska

FLORA WALECZNEGO SERCA

Medal FLORENCE NIGHTINGALE (czytaj Florans Najtyngejl), ustanowiony w roku 1912 przez Międzynarodowy Komitet Czerwonego Krzyża — to największe odznaczenie międzynarodowe, jakie może otrzymać pielęgniarka. Przyznawany jest co dwa lata dla uczczenia pamięci angielskiej działaczki, która całe swoje życie poświęciła organizowaniu opieki nad chorymi, walce o to, aby zapewnić im fachową i życzliwą opiekę. Dzięki Florence Nightingale powstała w roku 1860 pierwsza szkoła pielęgniarska na świecie. Dzięki niej do pomocy frontowym lekarzom stanęły także kobiety. To jej ideę — niesienia pomocy rannym — podjął Henryk Dunant — założyciel Czerwonego Krzyża.

Odznaczenie to otrzymały dotychczas (od pierwszego nadania w 1920 r.) 702 pielęgniarki różnych narodowości, w tym 34 pielęgniarki polskie. W bieżącym roku wśród 36 odznaczonych są dwie Polki. Jedna z nich to HELENA DĄBROWSKA — „FLORA", która po Krzyżu Walecznych, Krzyżu Partyzanckim, Srebrnym Krzyżu Zasługi oraz Medalu Zwycięstwa i Wolności otrzymała teraz „nagrodę za czyny wymagające wyjątkowego poświęcenia".

Ale pierwszym krzyżem Heleny był Krzyż Harcerski, który otrzymała po przyrzeczeniu w rodzinnym Kowlu na Wołyniu.

— Gdyby nie tamta uroczysta chwila sprzed lat — mówi — chyba nie zasłużyłabym na medal Florence Nightingale.

Helena Dąbrowska (trzecia od lewej) podczas zajęć Drużyny Łącznościowej Hufca Harcerek w Kowlu.

(Zdjęcie ze zbiorów Heleny Dąbrowskiej)

WSZYSTKO. CO NASZE...

„Wszystko, co nasze, Polsce oddamy" — takie były i są pierwsze słowa hymnu harcerskiego. Hymn

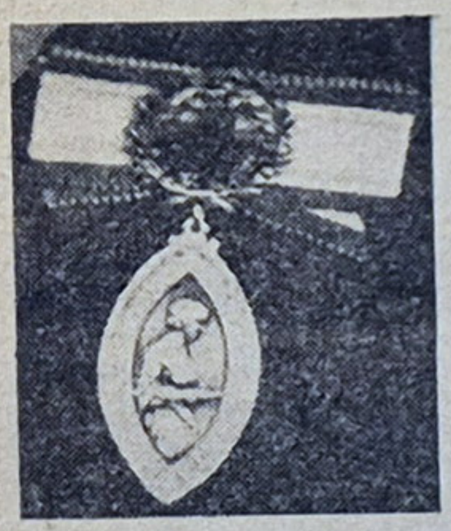

Najwyższe na świecie odznaczenie pielęgniarek — medal Florence Nightingale.

(Foto: W. Prażuch)

oczywiście śpiewa się stojąc na baczność, ale kto się zastanawia nad jego słowami? A gdyby się nawet i zastanowić, to jak je przełożyć na zwykły, codzienny język? Co tu można oddać Polsce, gdy ma się trzynaście czy czternaście lat? Toteż Hela, tak jak inne dziewczynki z jej zastępu — Kasia, Renia, Janka — po prostu śpiewała, a potem w czasie zbiórki starała się wszystko robić jak najlepiej — wiązać węzły, nadawać alfabetem Morsa, grać w kima. Kima lubiły wszystkie. Zawsze było przy nim mnóstwo śmiechu. Bo czyż to nie jest zabawne, że kiedy zawiązać komuś oczy, nos okazuje się „przyrządem" bardzo niedoskonałym, bo nie odróżnia zapachu mleka od octu?!

Te wszystkie gry, ćwiczenia, podchody, wyprawy do lasu, chodzenie według mapy i kompasu nie kojarzyły się Heli z hymnem. Nawet jeżeli razem ze starszymi dziewczynkami organizowała zajęcia dla maluchów, uważała to za codzienne, harcerskie życie, hymn natomiast był czymś uroczystym, odświętnym. Pasował raczej do zbiórki hufca, czy defilady, podczas której harcerze maszerowali zawsze tuż za wojskiem. Natomiast fragment przyrzeczenia „nieść chętną pomoc bliźnim" nie tylko wyjątkowo mocno tkwił w pamięci Heli, ale stał się jakby jej prywatnym przykazaniem.

PIELĘGNIARSKI CZEPEK

Stało się to wtedy, gdy zachorowała ciężko matka przyjaciółki Heli, pani Malinowska. Dziewczynki najpierw pielęgnowały ją w domu, ale kiedy opieka domowa nie wystarczała i chorą zabrano do szpitala, Hela zetknęła się z pielęgniarkami i lekarzami. Ponieważ była bardzo młoda i bardzo przejęta cierpieniem ludzkim, pielęgniarki i lekarze w białych fartuchach wydali się jej aniołami, którzy koją ból. I wtedy właśnie postanowiła nieodwołalnie włożyć pielęgniarski czepek.

Szkół pielęgniarskich było wówczas niewiele. Większość pielęgniarek zdobywała ten zawód na kursach PCK, a potem na praktyce w szpitalu. Skończyła więc taki 6-miesięczny kurs i zaczęła pracę w szpitalu sejmikowym, czyli powiatowym. Tutaj, w Kowlu, pod okiem dyrektora szpitala, który docenił dobre chęci i zapał Heleny, przeszła wszystkie stopnie pielęgniarskiego wtajemniczenia, z instrumentowaniem przy operacjach i podawaniem narkozy włącznie. I właśnie na sali operacyjnej czuła się najlepiej — uważna, opanowana, sprawna, nie potrzebowała wkrótce słów, żeby wiedzieć, czego od niej oczekuje lekarz.

ZŁOTA LILIJKA SAMARYTANKI

Nie przeszkadzało jej to oczywiście w pracy harcerskiej. Należała do drużyny, która jako specjalizację wybrała sobie łączność. Helena razem z koleżankami brała udział w zajęciach praktycznych, rozciągała linie telefoniczne, „snuła" kable, dźwigała tyczki, uczyła się obsługi central telefonicznych. Kiedy w słuchawce odzywał się głos koleżanki — tu Brzoza, tu Brzoza! Słyszę cię! — znaczyło to, że zadanie zostało dobrze wykonane, a instruktor łączności, przydzielony harcerkom z jednostki wojskowej, chwalił dziewczyny. Mimo że uczyły się łączności „na wszelki wypadek", to znaczy na wypadek wojny, żadna z nich nie wierzyła, że wojna kiedyś naprawdę może wybuchnąć. Należała przecież do przeszłości.

O tych, którzy poszli na krwawy bój, aby „bronić ojczyzny, praw i pokoju" śpiewało się tylko na wieczornych ogniskach. Helena nie marzyła więc o Krzyżu Walecznych, ale zdobyła stopień samarytanki, czyli prawo do noszenia złotej lilijki na krzyżu harcerskim, i prowadziła szkolenie sanitarne w swojej drużynie.

Na harcerskich obozach do jej obowiązków należało pilnowanie czystości i higieny oraz stanu zdrowotnego uczestników, co wcale nie było takie łatwe i proste, ponieważ obozy harcerskie przed wojną organizowane były w dużo bardziej prymitywnych warunkach niż dzisiaj. Obozowało się daleko nie tylko od miasteczka i apteki, ale czasem nawet wiele kilometrów od wsi, nikt nie grzał wody do mycia, budowanie pryczy, kuchni i innych urządzeń obozowych często-gęsto kończyło się w punkcie opatrunkowym, który oczywiście prowadziła Helena, wykorzystując każdy „wypadek" do ćwiczeń praktycznych dla młodszych dziewcząt.

Ostatnie lato przed wojną, w 1939 roku, spędziła także na obozie — tym razem dużym, międzynarodowym — gdzie już oficjalnie powierzono jej funkcję higienistki. Tutaj miała już prawdziwą izbę chorych, a także pacjentów z okolicy, którzy korzystali z obecności harcerek i przychodzili z prośbą o poradę.

MOBILIZACJA

Pogodny nastrój tego międzynarodowego spotkania przerwało jedno słowo: mobilizacja! W ślad za komunikatem radiowym przyszedł telegram z Kwatery Głównej ZHP, nakazujący likwidację obozu.

Helena, jako pielęgniarka, należała do korpusu sanitarnego PCK. W domu, w Kowlu, i na nią czekała karta powołania do wojska. Miała się natychmiast stawić w Lublinie.

Nawet trzymając w ręku kartę mobilizacyjną nie przewidywała, że oto przyszedł czas, kiedy słowa, które jeszcze wczoraj śpiewała w obozowym apelu: „Wszystko co nasze..." przestają być tylko słowami. Wyruszyła do Lublina w mundurze harcerskim.

C.d.n.

KALINA GAWĘCKA
WACŁAW BISKO

W PUSTYNI I W PUSZCZY

Po groźnej burzy piaskowej, w obszernej wnęce pod nawisem skalnym śpią zmęczeni Beduini. Staś postanawia zdobyć sztucer. Po wielu wysiłkach, aby nie wydać szmeru, omijając śpiących, zbliża się ku wyjściu z pieczary. Jeszcze krok i będzie wolny... Nagle rozlega się głośne szczekanie — zza skał wypada Saba! Słychać krzyk obudzonych Beduinów. Chłopiec opiera się o skałę. „Allach łaskawy, zesłał nam tego psa. Wąż nie chłopak! Chciał nas powystrzelać jak kaczki!" — słyszy głosy Beduinów.

RZEP-KLUB

Redaguje WŁODZIMIERZ LEWIŃSKI

Cześć!

Widziecie nas wszystkich, całą rodzinę przy stole wigilijnym. Życzymy Wam wesołych ferii i w ogóle wszystkiego najlepszego!

*

Nowe palindromy (do czytania w obie strony).

Darek Boratyn przysłał mi takie oto dwa palindromologiczne rarytasy:

UTKAJ OKNA JANKO JAK TU
ILE ADAMA MAMA DA ELI

a Leszek Nowak takie:

JUŻ ZARAZ ŻUJ
TAK OTO KAT

*

A teraz UWAGA!
W związku z sezonem narciarskim, feriami, śniegiem itp. otwieram opartą na absolutnie nowoczesnych metodach

BŁYSKAWICZNĄ
SZKÓŁKĘ NARCIARSKĄ

1) Najwięcej kłopotów sprawia początkującemu narciarzowi pierwszy samodzielny zjazd. Należy stanąć w pozycji zjazdowej i odepchnąć się kijkami...

2) Do skręcania użyjemy kierownicy. Zaawansowani narciarze — samochodowej, początkujący — rowerowej.

3) Zatrzymujemy się rzucając po prostu kotwicę. Pełną gwarancję zatrzymania daje kotwica, która waży tyle co narciarz.

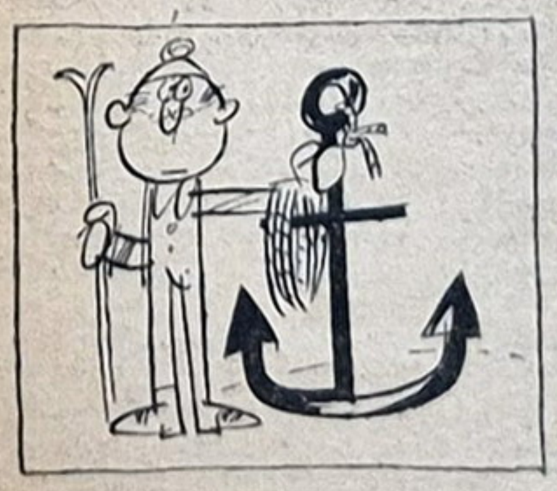

4) Najlepiej jednak w pierwszym okresie nauki jeździć pod opieką instruktora.
Do zobaczenia!

Wasz RZEP

— ...Nno, może ona nie jest najgęściejsza, ale za to jaka równa!

Rys. W. Lewiński

Myślałem, że nikt nie będzie wiedział co to jest, a tymczasem okazało się, że wszyscy wiedzą! Tak, ta tajemnicza strzelba jest w rzeczywistości aparatem fotograficznym służącym niegdyś do fotografowania ptaków w locie. Pięć książek wylosowali: Darek Mikoś, Józek Oskwarek, Michał Piosik, Mirek Herman, Krzysiek Sitarek. Książki wyślę niebawem.

Komunikat RZEP - KLUBU

Oto pierwsze poważne zadanie dla wszystkich członków i sympatyków Rzep-klubu:

PRZEZ CAŁE FERIE
OBDARZAĆ
SWE NAJBLIŻSZE OTOCZENIE
UŚMIECHEM!

Kto nie umie — niech trenuje!

Jest to uśmiech treningowy. Należy go wyciąć i nakleić na lustro, przed którym będziemy przeprowadzać trening. Metoda polega na upodobnianiu swego uśmiechu do treningowego ideału. Trenować: chłopcy — godzinę, dziewczęta — dwie godziny dziennie, z rana. Żeby nie śmiać się bez powodu, co może wydać się podejrzane, radzę korzystać z dodatkowej pomocy treningowej w postaci świątecznego numeru „ŚWIATA MŁODYCH", w którym jest mnóstwo rzeczy wesołych.

RZEP

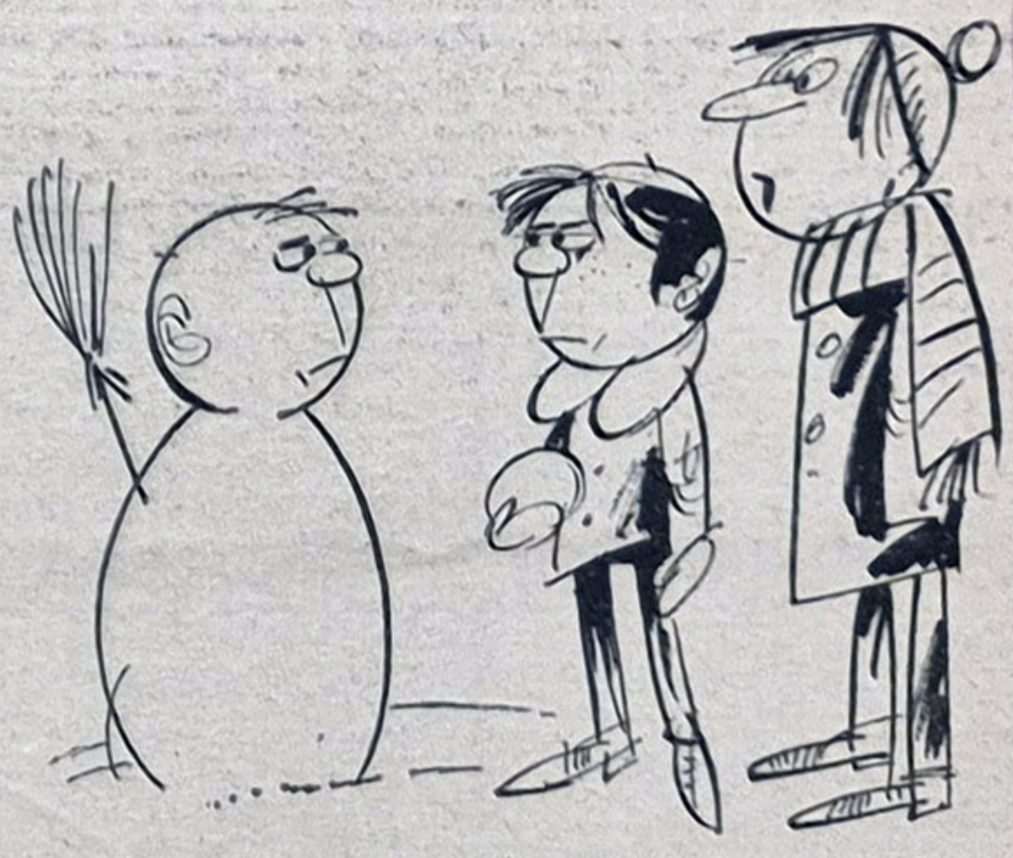

— Nie chcę cię zmartwić, Franuś, ale ten bałwan wygląda na twój autoportret...

Rys. W. Lewiński

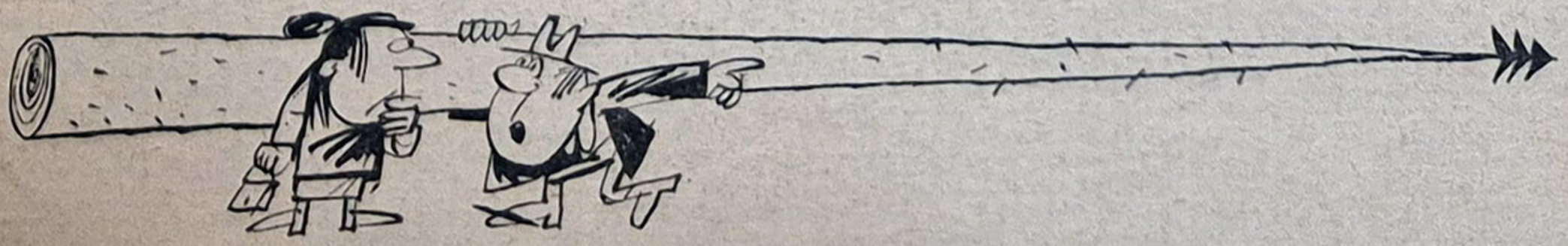

— Tam!... Choinka jest tam, na końcu!...

Rys. W. Lewiński

DOM MODY „ŚWIATA MŁODYCH"

Dla dziewcząt i dla chłopców

Na prośbę Darka Pierzchały, popartą przez wielu kolegów i jedną koleżankę, Zosię Lagoszyn, która napisała: „...*t dziewczętom jest przyjemnie, gdy chłopcy ubierają się modnie, a nie po staroświecku. Proszę więc i ja, chociaż jestem dziewczyną, o modę dla chłopców!*" dzisiaj — goszczą w naszym kąciku po raz pierwszy, ale wcale nie ostatni, również i chłopcy. Witam serdecznie!

Przedstawiam trzy pary. Ta z pudlem ubrana jest najbardziej „galow". Leciutka sukienka dziewczyny nadaje się idealnie do tańca. Może być wykonana z materiału wzorzystego, chociaż wtedy mniej są widoczne obfite marszczenia staniczka, które są jej wielką ozdobą i stanowią o całym szyku. Młody człowiek ma na sobie spodnie z gładkiego materiału z szerokim mankietem i nienagannie zaprasowanym kantem, a do tego luźną marynarkę w pepitkę z szerokimi klapami i dużymi nakładanymi kieszeniami. Strój uzupełnia biała koszula i... wielka muszka.

Oczywiście marynarka może być nie w pepitkę, ale na przykład w paski, lub w kolorowe supełki. Ważny jest sam sposób zestawienia obu części i ich różnorodność. Nie wyglądają najszałowiej jednolite garnitury typu „pan dyrektor na ważnej konferencji". Jestem również przeciwna krawatom, choć by były najbardziej barwne; o wiele zabawniej wygląda właśnie muszka lub apaszka.

Para z owczarkiem szkockim przedstawia bardziej umiarkowany styl wizytowy — i na prywatkę, i na imieniny do cioci. Sukienka dziewczyny jest trochę jak ze starego albumu — pepitka, białe mankiety i kołnierzyk, czarna aksamitna kokarda. I ładne, i eleganckie, i modne. Chłopiec ma kraciastą koszulę z modnym wysokim kołnierzykiem i cudowną, grubą kamizelkę zrobioną na drutach ozdobnym ściegiem. Poświęcę jeden z najbliższych kącików w całości różnym męskim swetrom i swetrzyskom, a dzisiaj tylko sygnalizuję, że jest to rozwiązanie odpowiednie na tysiące różnych okazji. Najmodniejsze koszule to te w różne geometryczne wzorki — kratki, paski, kropki.

Para z pekińczykiem jest najskromniejsza, nie ma w ich stroju nic specjalnie wystrzałowego. Przyjrzyjcie się uważnie temu rysunkowi — częściej jest przecież dzień powszedni niż święto.

Życzę Wam jakichś fajnych „ciuchowych" prezentów pod choinka!

RIUSZKA

KOLĘDZIOŁKA DLA SĄSIADÓW

(Na melodię kolędy „W dzień Bożego Narodzenia")

Hej sąsiedzi,
domownicy,
czyście w spodniach,
czy w spódnicy,
Posłuchajcie dziś
big-bitu
od podłogi
do sufitu
Do sufitu!
Włóżcie uśmiech
na oblicza
Niech wam radość
wejdzie w zwyczaj,
bo na co dzień
i od święta
Ważna jest twarz
uśmiechnięta.
Uśmiechnięta!

KLAUDIA I ALICJA: *Poradź, Światowcu, jak składać rodzinie świąteczne i noworoczne życzenia? My wszystkim życzymy „Wesołych świąt" i „Szczęśliwego Nowego Roku". Czy tak jest dobrze?*

Trochę to lakoniczne i, powiedziałbym, urzędowe. Wiecie co mi się automatycznie nasuwa jako uzupełnienie tych Waszych życzeń? — „...życzy kominiarz" lub „...życzy listonosz". Znamy wszyscy takie okolicznościowe bileciki. W stosunku do najbliższych można się zdobyć na trochę intymności. Mamie, babci, tacie będzie miło, że znamy i pamiętamy o ich marzeniach i życzeniach. Babci można np. życzyć dużo zdrowia i... lepszych wnuków, tacie — wymarzonego Fiata, mamie — by zawsze była taką uśmiechnięta i ładna. Uwaga: polecam życzenia miłe, ciepłe, serdeczne, sprzeciwiam się życzeniom typu — wypominki. Np. nie radzę mówić siostrze: Życzę Ci, byś się jakoś wygrzebała z licznych dwój. Niby życzenie dobre ale niezbyt przyjemnie je usłyszeć.

NIEZAWODNA CZYTELNICZKA: *Poznałam chłopca, który mi się bardzo podoba. Mam wrażenie, że mnie „kocha". Używa b. zdrobniałego mego imienia. Witamy się tylko uśmiechem. Czy to wystarczy?! Napisz, jak mam postępować, czy mu to wszystko powiedzieć.*

Błagam, nie mów! Tymbardziej, że właściwie nie masz co mówić. Zdrabnianie imienia to żaden dowód miłości. Dobrze, że napisałaś „kocham" w cudzysłowie, bo przypuszczam, że właśnie tak na niby tę sprawę traktujesz.

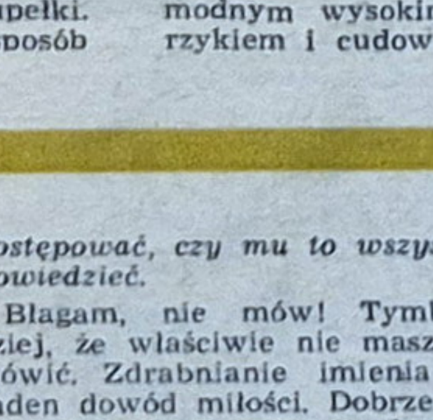

MARTA: Czy można składać życzenia świąteczne przez telefon?

Tak, ale raczej rówieśnikom. Ludziom starszym grzeczniej będzie wysłać okolicznościową kartkę.

WOJTEK D.: Wyjeżdżamy z rodzicami na święta do Zakopanego. Będziemy mieszkać w domu wczasowym. Chciałbym wiedzieć: 1) czy mam kłaniać się wszystkim znanym mi z widzenia wczasowiczom? 2) czy muszę cały czas być razem z rodzicami? 3) czy mogę iść na Sylwestra; jeśli tak, to czy zaprosić jakąś dziewczynę i w co się ubrać?

Zazwyczaj wszyscy wczasowicze spotykają się co rano, przy śniadaniu. Wtedy należy mówić grzecznie — dzień dobry, potem przy następnych niezliczonych spotkaniach wystarczy tylko uśmiech, aby się wzajemnie wiecznym mówieniem owego „dzień dobry" nie zamęczyć. 2) Rodzina, nawet najbardziej kochająca się, musi czasem od siebie odpocząć. Dlatego sądzę, że rodzice będą chcieli mieć nareszcie czas dla siebie i wcale nie marzą o tym, by ich dorosłe niemal dzieci towarzyszyły im jak cień. 3) Możesz iść na Sylwestra, gdy: pozwolą rodzice, w domu, w którym mieszkasz (lub może w sąsiednim) organizuje się zabawę dla młodzieży. Jeśli nie będzie takiej dziewczyny, którą bardzo chciałbyś zaprosić na wspólną zabawę, to nie zapraszaj nikogo „na siłę". Możesz śmiało iść sam. Takich „samotnych" będzie tam więcej. W sprawie ubioru — zajrzyj do dzisiejszego kącika Riuszki.

ŚWIATOWIEC

Świat MUZYKI
GAZETA MELOMANÓW

Zbliża się okres zabaw karnawałowych, zespół redakcyjny „Świata Muzyki" zaprosił specjalnie dla swych wiernych czytelników, przezabawną grupę „CHAŁTURNIK", czyli Stowarzyszenie Popierania Prawdziwej Twórczości. A zatem — zapraszamy do tańca!
Foto: M. Karewicz

KOCHANI MELOMANI!

Konkurs na nazwę strony muzycznej — rozstrzygnięty! Tak więc jeszcze w starym roku 1973 strona muzyczna otrzymuje imię — ŚWIAT MUZYKI. Mamy nadzieję, że ten „młokos" wydorośleje i stanie się Waszym przyjacielem, bez którego trudno będzie się obyć. A na razie cieszymy się z tego, że już zwrócił Waszą uwagę, o czym świadczy worek listów.

Kochani! Od dnia dzisiejszego będziecie czytali ŚWIAT MUZYKI! Nie żaden „mały światek" ale „duży świat". A ŚWIAT MUZYKI jest ogromny... Ludzie, którzy chcą go poznać, muszą interesować się nie tylko listą przebojów, ale i muzyką Chopina, którą niepotrzebnie nazywa się muzyką poważną. Chcemy z Wami rozmawiać o dobrej muzyce, a więc zarówno o Beethovenie jak i Niemenie. Mamy nadzieję, że będziecie nam pomagali w doborze materiału!

A TERAZ NAGRODY! Los okazał się łaskawy dla: KRZYSIA OWCZARKA z Pabianic, URSZULI PAWĘSKIEJ z Lipin Dolnych, JAROSŁAWA GOLI z Poręby, KATARZYNY GOŁUBIEW z Krakowa — autorki bardzo interesującego listu, 11-letniego RYSIA NOWAKA z Dębca, którego pragnę pocieszyć — pani Rodowicz nie jest mężatką! Fotografię wyślemy pocztą. Ci z Was, od których szczęście na chwilę się odwróciło, niech próbują nadal je prowokować, biorąc udział w następnych konkursach. Życzymy powodzenia i czekamy na Wasze listy.

TADEUSZ WOŹNIAK:

Z GITARĄ ŚLUBU NIE BRAŁEM...

Występuje Pan na estradzie w podwójnej roli — wykonawcy i kompozytora...

— ...bo piosenka jest, w moim przekonaniu, formą osobistej wypowiedzi.

— „Nadwornym" autorem tekstów do Pana piosenek jest Bogdan Chorążuk. Czy to świadomy wybór czy przypadek?

— Od kilku lat szukałem poety, z którym mógłbym się związać na stałe. Zależało mi na człowieku, którego poezja i filozofia życiowa byłyby bliskie mojej twórczości i...

— ...znalazł Pan Chorążuka. Jaka jest kolejność? Czy Pan najpierw komponuje muzykę, czy Chorążuk pisze tekst?

— Bywa różnie, ale najczęściej Chorążuk jest pierwszy.

— Należy Pan do wykonawców faworyzujących piosenkę nastrojową, refleks, jną. Czy to ma jakiś związek z Pana usposobieniem?

— Rodzaj artystycznej wypowiedzi jest na pewno odzwierciedleniem pojmowania świata, ale... czy komik musi być na co dzień wesołkiem? Piosenki, które śpiewam, do wesołych nie należą, ale... potrafię się także uśmiechać.

— Piosenka nastrojowa wymaga tzw. „oprawy"; małej sali, skąpego światła, niewielkiego grona słuchaczy... Czy Pana piosenki sprawdzają się w ogromnej Sali Kongresowej?

— O tym decyduje publiczność. Nawet idealne warunki nie pomogą piosence, jeśli trafia ona do słuchacza nastawionego na odbiór innego rodzaju muzyki.

— Czy zdarzyło się Panu występować bez gitary?

— Nie, jeszcze nie... Ale to nie znaczy, że pewnego wieczoru nie wyjdę na estradę bez gitary, z którą przecież ślubu nie brałem...

— Która z piosenek jest Panu najbliższa, która wiąże się z jakimś osobistym przeżyciem?

— Nie opisuję życia w swoich piosenkach. Są to raczej luźne refleksje... Inspirować może zarówno dobry koncert, jak i ciekawa książka.

— Będąc jurorem na przeglądach zespołów amatorskich zetknął się Pan z młodymi ludźmi, którzy próbują Pana naśladować. Czy odczuł Pan to jako dowód ogromnej popularności?

— Raczej jako dowód zainteresowania moją twórczością.

— A co Pan radził tym młodym muzykom?

— Żeby wytrwale pracowali. Tylko pracą można dojść do zadowalającego poziomu wykonawczego i oryginalności.

— Występuje Pan na estradzie, nagrywa dla radia, śpiewa przed kamerami TV... Która z tych form działalności artystycznej jest Panu najbliższa?

— Zawsze wolę żywy kontakt z publicznością. Nie lubię występować w TV — nie znoszę „playbacku".

— Wielbiciele i wielbicielki Pana talentu czekają na nową płytę... Kiedy ją otrzymają?

— Przygotowuję się do nagrywania nowego LP, który, mam nadzieję, będzie lepszy od poprzedniego.

— Oby tylko jak najszybciej ukazał się w sprzedaży...

LECH NOWICKI

ROZWIĄŻESZ ŚPIEWAJĄCO

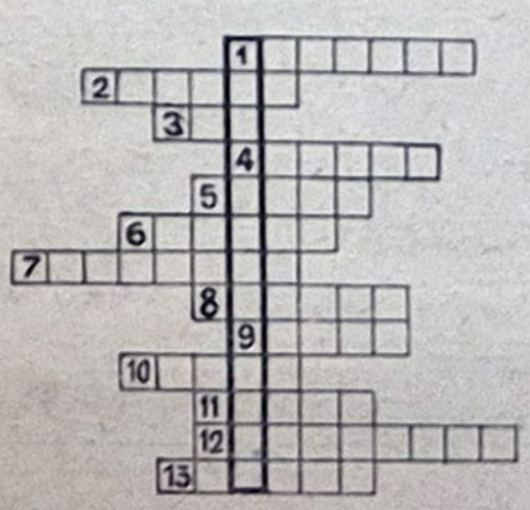

Odgadnijcie 13 wyrazów o podanych niżej znaczeniach i wpiszcie je poziomo. Litery w oznaczonym rzędzie, czytane pionowo, utworzą hasło, które należy wysłać pod adresem redakcji (wyłącznie na kartkach pocztowych). Adres redakcji: „Świat Młodych", 00-561 Warszawa, ul. Mokotowska 24. Wśród czytelników, którzy do dnia 10 stycznia 1974 roku nadeślą prawidłowe rozwiązanie, rozlosujemy **płytę długogrającą.**

1) z gitarą ślubu nie brał, 2) w każdej piosence, 3) najniższy głos męski, 4) szybki taniec ludowy, 5) grający krążek, 6) imię Rodowicz, 7) instrument Paganiniego, 8) największy polski kompozytor, 9) ..... Młodych albo Muzyki, 10) znany zespół muzyczny, 11) „cicho" w muzyce, 12) śpiewał „Do zakochania jeden krok", 13) posługuje się nią dyrygent.

Jeszcze chodzą po świecie dziewczyny bardzo smutne ze znanej przyczyny, ale wy się dziewczyny nie dajcie... tylko szczęścia szukajcie, szukajcie... Hej!

Dla nas diabeł dla nas maj,
patataj, o patataj,
dla nas anioł, dla nas raj
patataj, o patataj,
dla nas diabeł dla nas raj
patataj, o patataj,
Dla nas wszystko, naj, naj, naj
patataj, o patataj,

Jeszcze będzie weselej i mądrzej
Złoty księżyc usiądzie na kołdrze,
będą z nami się żenić, nas kochać
a my piękne w niebieskich pończochach...
Dla nas diabeł dla nas maj...

Jeszcze zadrze do góry się noska,
co to będzie za dzień Matko Boska!
Jeszcze błysną obrączki na palcach
jeszcze ruszy podłoga do tańca.
Dla nas diabeł dla nas maj...

Przyjdzie dzień, gdy się słońce ocieli
a my w górze, my w chmurze, my w bieli
serenady zanucą nam do snu
skarby świata znów rzucą nam do stóp.
Dla nas diabeł dla nas maj...

DIABEŁ I RAJ

Słowa: A. Osiecka
muz.: K. Gärtner

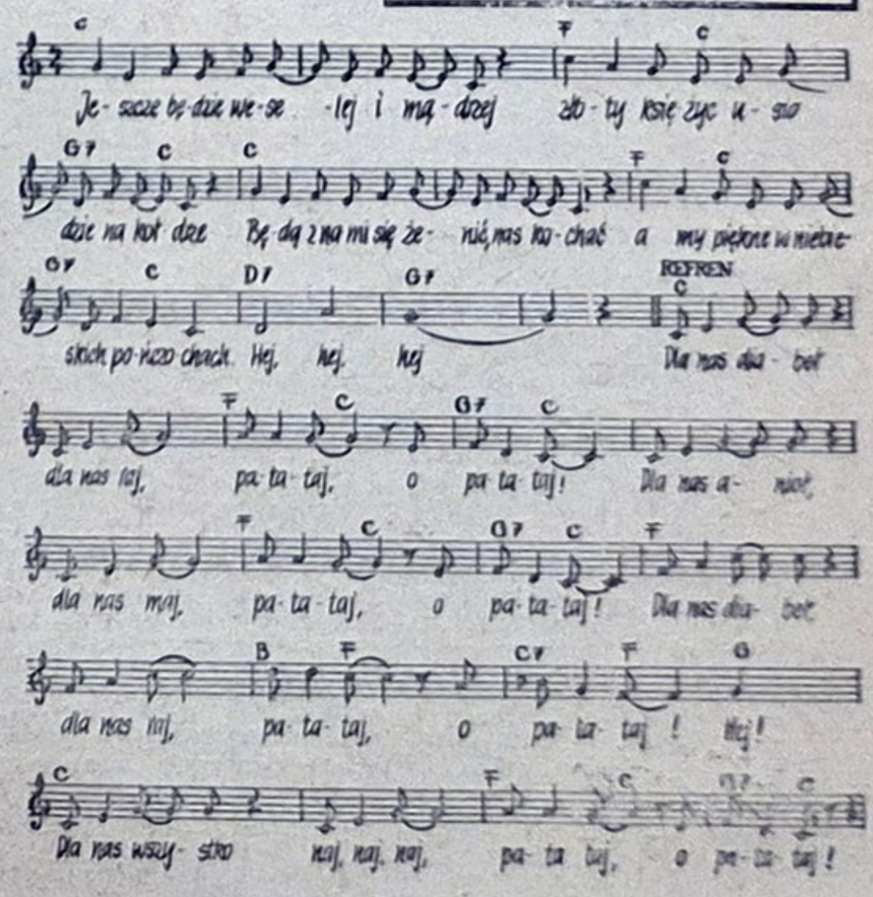

Karol Libelt

Gra w szachy

Ilustr. Bohdan Bocianowski (9)

Próby powtarzały się co dzień aż do przybycia cesarza, a chociaż szło jak najlepiej, oświadczył Anastazjo, że nie ma jeszcze wprawy jak należy. Tym jedynie sposobem przekonał się, że może zbliżyć się do Erminii i z nią rozmawiać mimo argusowych oczu wuja i jego synowca. Anastazjo dowiedział się wkrótce z ust Erminii, że nie ma majątku, że jest przeznaczoną synowcowi, znienawidzonemu Aleksandrowi, na żonę, że połączenie ma najdalej za trzy miesiące nastąpić i że woli śmierć ponieść w Canale Grande, aniżeli pójść za niego. Anastazjo uniesiony tym zaufaniem skreślił uczucie, jakim go pierwszy widok Erminii przejął, i zapytał czy chciałaby mu rękę i serce oddać, spodziewając się, że nawet mimo woli wuja znajdzie środki, aby się z nią ożenić. Lubo Erminia uwierzyła słowom młodzieńca i nie ukrywała tajemnicy, że ona wzajem dla niego to samo podziela uczucie, oświadczyła, że nie ma żadnej nadziei połączenia się z nim. Dodała nadto, że wuj jest jej jednym z najdumniejszych mężów weneckich, a chociażby nie miał synowca, nigdy by nie zezwolił na ich małżeństwo. Jedynie nadzieja, że sztukę gry odkryje, będąc jej wielkim miłośnikiem, spowodowała go do przyjęcia roli wskazanej mu przez księcia. W każdym wypadku powinien się Anastazjo wystrzegać powierzenia mu tajemnicy, a jeżeli przybędzie do Wenecji, powinien wszystkie papiery pochować, które chce mieć ukrytymi, inaczej zginie, bo jej wuj jest potężnym urzędnikiem Rzeczypospolitej.

Anastazjo uniesiony troskliwością Erminii, którą widział w jej oczach i słowach, uchwycił za rękę dziewicy i przysiągł, że nic go nie wstrzyma od zwiedzenia Wenecji i wszelkiego dołoży starania, aby nadzieje swoje urzeczywistnić.

Kiedy tak Anastazjo uszczęśliwiony myślał nad planami, za pomocą których mógłby posiąść rękę swej ulubionej, często przychodziły mu na myśl słowa dziewicy, które kreśliły charakter jej wuja, i wewnętrzne uczucie szeptało mu groźnie, żeby się strzegł jego, jeżeli chce uniknąć niebezpieczeństwa. Dlatego spalił papier, na którym były ciągi ręką doktora nakreślone. Uderzyło go podczas prób, iż mimo całej biegłości signor Bernardino B. zawsze jednym i tym samym grał sposobem, a to zapewne z tego powodu, że chciał poznać grę przeciwnika; postanowił więc wobec dworu i cesarza inny nadać grze kierunek, który by się różnił od prób, a jednak schodził do kombinacji zagrażającej klęską przeciwnikowi.

Anastazjo otrzymał wreszcie uwiadomienie od księcia, że cesarz przybył i że nazajutrz umówiona maskarada odbędzie się wobec dworu. Wszystko jeszcze raz powtórzono, co mogło podnieść widowisko, i w rzeczy samej odbyło się ono z takim przepychem, na posadzce w szachownicę ułożonej, tańczyły maski charakterystyczne; wtem wszedł giermek i ogłosił, że dwóch sławnych czarodziejów z Egiptu i Indii przybyło prosząc cesarza o łaskę, aby pozwolił, jako znawca i miłośnik starożytnej gry, pograć w szachy przed sobą i wydać wyrok, który z nich zwycięży. Cesarz skinął głową na znak pozwolenia, a drużyna ruszyła na salę wśród trąb i kotłów odgłosu. Naprzód laufry jako arlekiny przebrane, wyrabiając dziwne figle, różniąc się między sobą kolorem czapek. Za nimi skoczkowie jako centaury, ich konie były sztuczne przyprawione z papieru, siwki dwa i dwa kare konie. Potem weszły obie pary królewskie; Erminia i Aleksander w kolory Wenecji, przeciwnicy zaś w kolory Mediolanu ubrani. Cztery słonie zamykały pochód.

Wszyscy przeszli obok cesarza trzykroć po sali i stanęli na miejscach wyznaczonych. Szesnastu chłopców w pierwszych rzędach na stronach przeciwnych pola, za nimi wieże, skoczki, laufrowie, królowe i króle. Jak tylko zajęli miejsca, wjechali z dwóch przeciwnych podwoi dwaj czarodzieje, ciągnieni na wysokich triumfalnych wozach, jeden przez krokodylów, drugi przez smoków, a przywitawszy cesarza swymi laskami czarodziejskimi stanęli każdy za swymi żywymi figurami.

Odgłos trąb zapowiedział początek gry, którą kierowali czarodzieje za pomocą lasek czarnoksięskich. Anastazjo atoli wkrótce przekonał się, że signor Bernardino daleko dokładniej grał, niż to na próbach okazywał, i cieszył się w duchu, że się na inne przygotował kombinacje. Uważał nadto z ruchów i twarzy przeciwnika, że ma zamiar zerwać mu laur z głowy w obliczu cesarza. Gra chwiała się i na tę, i na ową stronę. Mechanicznie kroczyły chłopaki, w skokach laufry i centaury, na miejsca, które im laską czarnoksięską wskazywano. Mnóstwo ich zbitych z gry wyszło. Bernardino przecież grał ostrożnie, krzyżował obrachunek Anastazego. Walka stawała się coraz żywsza; główne figury weszły do walki, wtem Anastazjo postrzega, że król jego, przedstawiony za Aleksandra, opuszcza nieznacznie miejsce i staje na innym przedziale. Widocznie Aleksander działał w porozumieniu ze swym wujem. Anastazjo, rozgniewany tym podejściem zapowiadającym jemu przegraną, podniósł się ze swego siedzenia, po trzykroć zakręcił laską czarnoksięską nad jego głową i rozkazał mu pozostać na miejscu. Szmer powstał naokoło. Signor Bernardino grał odtąd jak zbity, wkrótce wpadł w matnię zastawioną przez Anastazego i mimo silnej obrony często oznaczały głosy trąb, że Anastazjo sięga laską koron królowej i króla przeciwnika. Dobijający nareszcie rozgłos zwiastował zwycięstwo jego nad Bernardino. Po czym Anastazjo na wezwanie giermka stanął przed cesarzem, uklęknął i otrzymał w nagrodę na znak zwycięstwa złoty klejnot, na którym według ówczesnego zwyczaju była szachownica kamieniami drogimi ułożona.

Sława Anastazego powiększyła się owym zwycięstwem w obliczu cesarza. Najznakomitsze osoby Mediolanu ubiegały się o niego, w kołach dam rozmawiano jeno o pełnym wdzięku mistrzu szachów i opowiadano sobie mnóstwo o nim powiastek prawdziwych, półprawdziwych i zupełnie zmyślonych, a wszystkie na korzyść Anastazego.

Kiedy najpiękniejsze kobiety Mediolanu ubiegały się o jedno słówko jego, o jedno spojrzenie, kiedy kawałek papieru z jego ręki, odrobina ciasta zostawiona na talerzu obudzała zazdrość, on myślał tylko o swojej Erminii. Co dzień odwiedzał jej wuja, zawsze z uprzejmością był przyjmowany, a nawet Aleksander zdawał się nie zważać na jego rozmowy z Erminią. Na koniec signor Bernardino oświadczył mu, że wraca do Wenecji. Serdecznie przyjął Anastazjo zaproszony widząc, że Erminia miłymi oczyma radość z tego powodu okazała, zdawało mu się jednak, że słowo „ostrożność" zawisło na jej ustach.

Za powrotem do swego mieszkania długo namyślał się, dlaczego Erminia go ostrzegała. Wówczas uważano Wenecję za pewien rodzaj lwiej jaskini, a każdy bawiąc w tej Rzeczypospolitej tak urządzał swe sprawy, aby najmniejsze nie padło nań podejrzenie polityczne. Jeżeli ktoś nie mówił o polityce, o rządzie i o Rzeczypospolitej, mógł robić wszystko, co mu się podobało. Nigdzie też więcej nie było rycerzy wietrznych i szarlatanów, jak w państwie weneckim. Anastazjo nie wiedział o tym, ale przestroga Erminii uczyniła go bacznym na grożące niebezpieczeństwo. Stanowczych środków ostrożności nie przedsiębrał, poniszczył papiery, tylko cokolwiek o złoto swoje się niepokoił. Dlatego nakupił za nie drogich kamieni, opasał ciało nimi, przy boku zawiesił szpadę i ukrył w zanadrzu sztylet; tak czuł się bezpiecznym.

C.d.n.

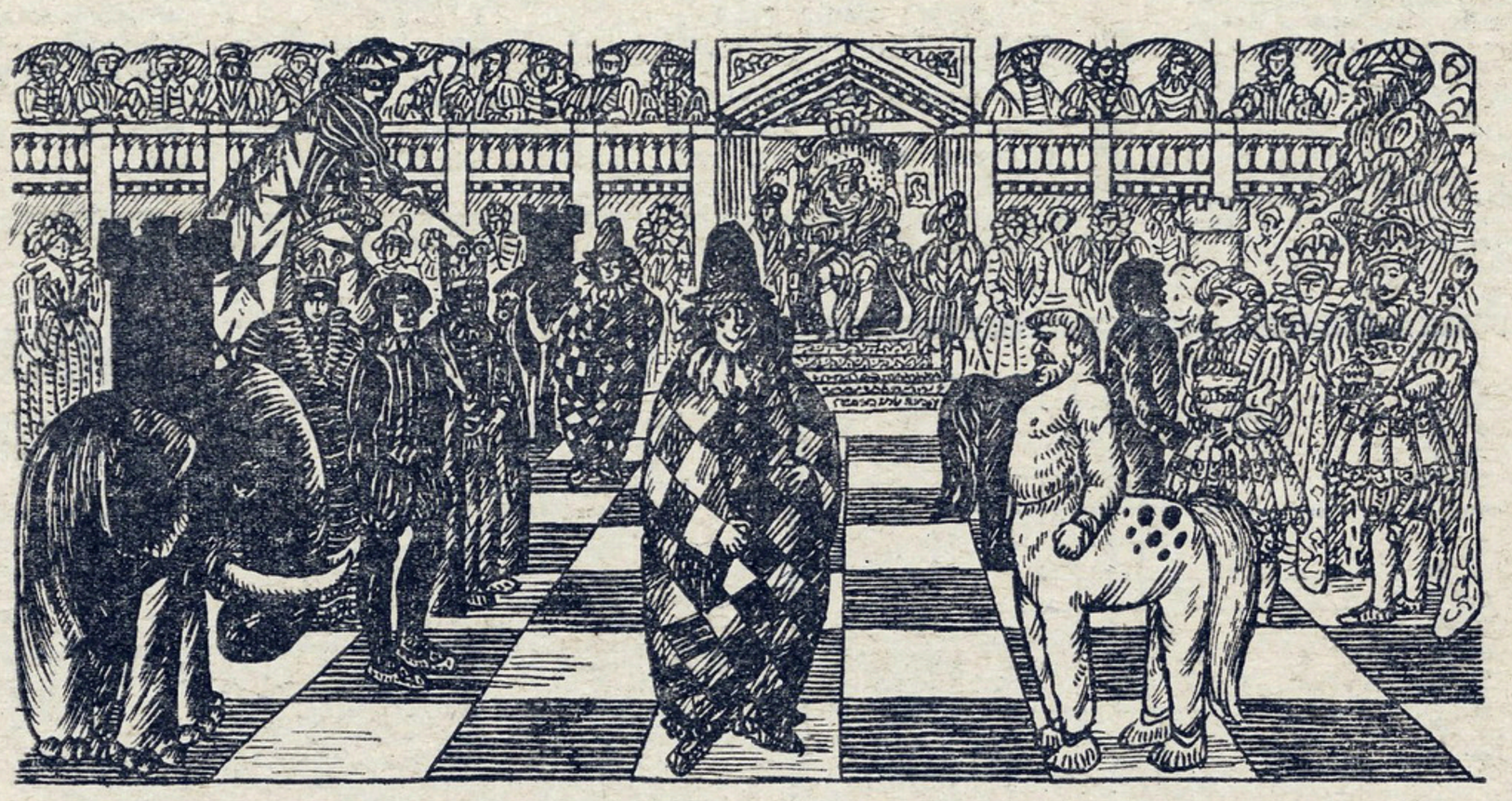

„ŚWIAT MŁODYCH" — GAZETA HARCERSKA — ukazuje się we wtorki i piątki. REDAGUJE ZESPÓŁ. Red. Nacz. Jerzy MAJKA, tel. 21-15-61. Sekretarz redakcji — 28-25-48. Sekretariat administracji — 21-15-61. Wydawnictwo „PRASA MŁODZIEŻOWA I SPORTOWA" RSW „Prasa, Książka, Ruch", 00-679 Warszawa, ul. Wilcza 46. Dyrektor Wydawnictwa, tel. 28-09-73. Dział Wydawniczy tel. 29-35-52. Biuro Ogłoszeń 00-033 Warszawa, ul. Górskiego 7, tel. 26-75-29. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa, Książka, Ruch". 00-624 Warszawa, ul. Marszałkowska 3/5 Prenumerata miesięczna zł 4.30, kwartalna zł 13.00. Wpłaty przyjmują Urzędy Pocztowe i listonosze wiejscy do dnia 15 każdego miesiąca. Wpłat dokonywać można również na konto PKO Nr I-1-100020 — Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictwa RSW „Prasa, Książka, Ruch" 00-839 Warszawa, ul. Towarowa 28 do dnia 10 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 10 proc. droższa od prenumeraty krajowej przyjmuje Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych „Prasa, Książka Ruch" 00-840 Warszawa, ul. Wronia 23, konto PKO I-6-100024. Sprzedaż egzemplarzy numerów zdezaktualizowanych, na uprzednie pisemne zamówienia, prowadzi Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Prasa, Książka, Ruch" 00-839 Warszawa, ul. Towarowa 28. Adres redakcji: 00-561 Warszawa, ul. Mokotowska 24. Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca. Numer indeksu — 35039.

Zam. 5442 R-77

Spróbuj Rozwiązać

KRZYŻÓWKA

RELAKS

Tym razem nie do rozwiązania, ale do ułożenia!

Do diagramu wpiszcie podane wyrazy tak, aby powstała zwykła krzyżówka. Litery, które znajdą się w zaznaczonych kratkach, czytane kolejno rzędami poziomymi, utworzą hasło krzyżówki. Aby wziąć udział w losowaniu nagród, wystarczy nadesłać do redakcji samo hasło krzyżówki. Termin nadsyłania: 5.I.1974 r. Na kopercie lub pocztówce konieczny jest dopisek: „Krzyżówka-relaks".

Nagrody: Bilard stolikowy oraz 10 książek z dedykacją świąteczną od redakcji.

Życzymy przyjemnego relaksu przy układaniu krzyżówki i powodzenia w losowaniu nagród.

A oto wyrazy do wpisania:

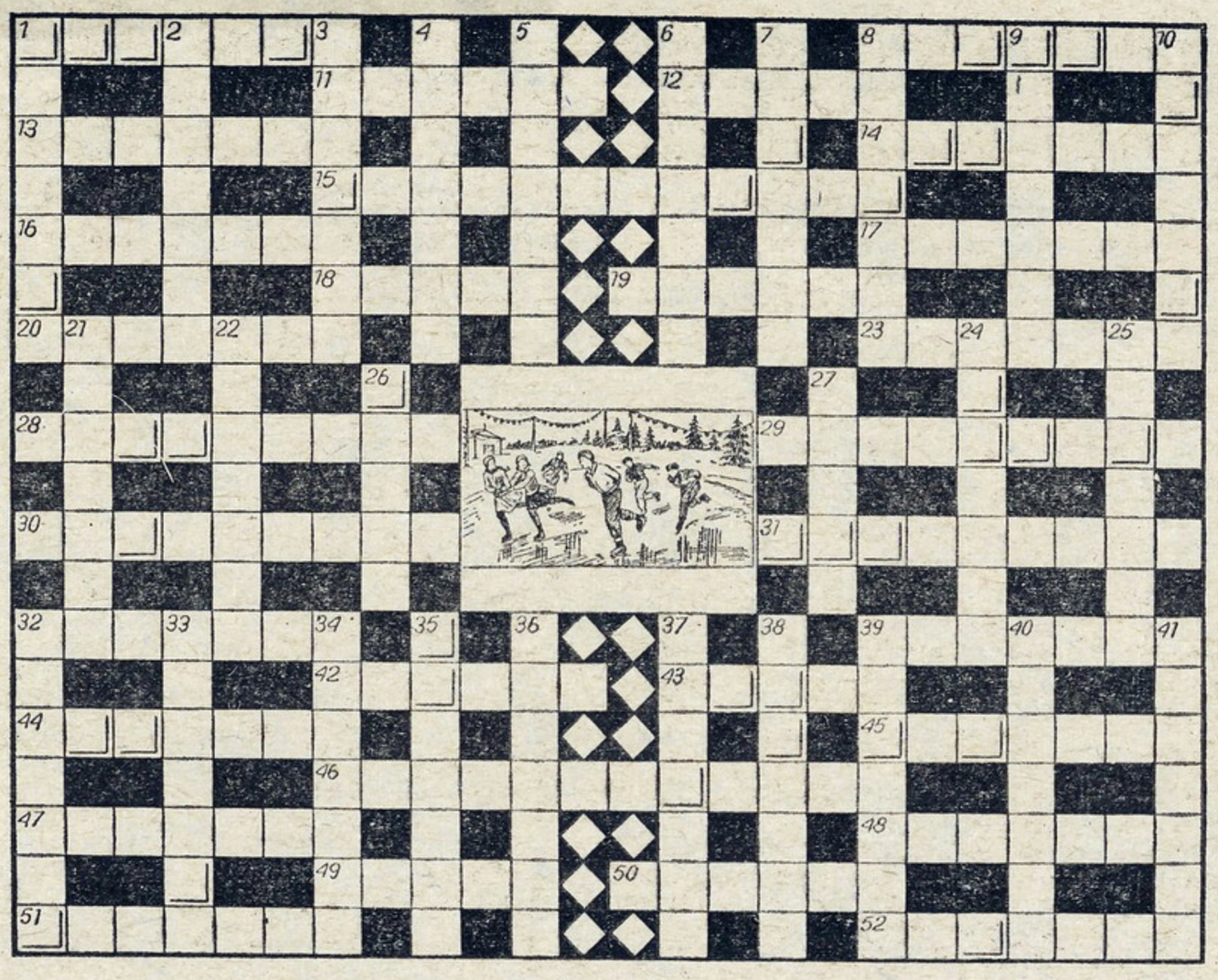

12-literowe:

SPECYFIKACJA
ŚWIERCZEWSKI

9-literowe:

CZYTELNIA
KOMUNIKAT
SZCZELINA
ŚWIETLICA

7-literowe

AGRAFKA
ANKIETA
APASZKA
AROGANT
CZECHOW
DRAWSKO
ETYLINA
EURAZJA
JASEŁKA
KASZTAN
KIERPCE
KONTAKT
KRAŚNIK
KRZYWDA
KWARTET
LEBIODA
NAJEMCA
NARKOZA
NASIONA
NASTRÓJ
NOWATOR
ODBICIE
PLANETA
PODATEK
PODKŁAD
PRZEKAZ
PRZEKĄS
PRZEŁYK
ROZPACZ
RZEŹNIA
SCHYŁEK
SKRAWEK
SYRENKA
SZTYGAR
SZYSZKA
TEKTURA
WIERTŁO
ZAGRZEB
ZAPRAWA
ŻYLETKA

6-literowe:

PARKAN
PRYCZA
RZEPAK
ZAKOLE

5-literowe:

CIECZ
CZŁON
INDIE
KUKŁA
OCZKO
RÓZGA

Sprawdź! Może i Ty znajdujesz się wśród nagrodzonych

ROZWIĄZANIE ZADANIA Z NR 89(2289)

Ptasia eliminatka. Nie mielą walce, lecz młynarza palce.

Za dobre rozwiązanie bony książkowe wylosowali: 1) **Barbara Budnik** — Jaworzno, 2) **Władysław Foremniak** — Legnica, 3) **Alina Kiszczyńska** — Kielce, 4) **Krystian Kotarba** — Świebodzin, 5) **Rafał Kwaczyński** — Przemęt, 6) **Krystyna Lipińska** — Gołębiów, 7) **Stefania Maroszek** — Bytom, 8) **Joanna Mikołajczyk** — Ruda Śląska, 9) **Artur Ploszek** — Złotoryja, 10) **Kazimierz Radoch** — Konin.

ROZWIĄZANIE BŁYSKAWICZNEGO KONKURSU Z NR 96 (2296)

OD KROPKI DO KROPKI

W gmatwaninie linii ukryty jest na rysunku samochód, pod którym leży kierowca (wystają mu tylko nogi). Kierowca naprawia wóz, bowiem obok niego leżą na ziemi narzędzia (patrz rysunek). Spośród 3.158 rozwiązań do nagród wylosowaliśmy dziesięć.

Znaczki z podobizną Tytusa otrzymują: **Danuta Radzikowska** z Włocławka; **Andrzej Sadłowski** z Urzędowa; **Barbara Mazurek** ze Środy Śl.; **Dariusz Odyja** ze Słupska; **Leszek Nowak** z Zabrza; **Dorota Lorkowska** z Krotoszyna; **Elżbieta Kołodziejczyk** ze Skawiny; **Jacek Doda** z Kowar; **Maria Marek** z Brzegu; **Jacek Banach** z Krzeszowic.

Znaczki wyślemy pocztą.

ROZWIĄZANIE ZADANIA Z NR 92(2292)

Szyfrogram. Kto pyta, a nie słucha, nie jest godzien odpowiedzi. (Piedestał, odzienie, godzina, knieja, uchwyt, Sopot).

Za dobre rozwiązanie bony książkowe wylosowali: 1) **Adam Bajbak** — Lublin, 2) **Krzysztof Bonter** — Wrocław, 3) **Grzegorz Ciesielski** — Gomunice, 4) **Magdalena Gołębiewska** — Warszawa, 5) **Iwona Greczka** — Poznań, 6) **Renata Janiak** — Jarocin, 7) **Joanna Szafraniec** — Szaniec, 8) **Irena Taraszczuk** — Brzozowiec, 9) **Tomasz Michoń** — Warszawa, 10) **Elżbieta Wierzbicka** — Starachowice.

ROZWIĄZANIE GRY NA DUŻĄ PRZERWĘ Z NR 97 (2297)

TAK! „KUBUŚ" JEST KANGUREM!

4.372 prawidłowych odpowiedzi wpłynęło do redakcji z rozwiązaniami gry na dużą przerwę „Wszyscy szukamy Kubusia!" **Wszyscy zgodnie orzekli, że Kubuś — to kangur.**

A 10 znaczków z Tytusem mieli szczęście wylosować następujący nasi Czytelnicy.

Jacek Bartczak z Łodzi; **Ludwika Lubieniecka** z Kołobrzegu; **Ewa Pawlaczyk** z Szamotuł; **Leszek Bednarz** z Bukowic Trzeb.; **Barbara Nowak** ze Stalowej Woli; **Cezary Mostrąg** z Lublina; **Irena Jabłońska** z Legionowa; **Jacek Szumski** z Białegostoku; **Zenon Kloze** z Krynicy; **Ewelina Spende** z Przezchlebia.

Wszystkim serdecznie dziękujemy. Nagrodzonym gratulujemy. Znaczki postaramy się wysłać jeszcze przed Gwiazdką.

POGOTOWIE TOMIKA

Kto chce zbudować LUNETĘ?

Spełniam życzenia czytelników TOMIKA i zamieszczam najprostszy model lunety. Aby zbudować lunetę, trzeba kupić w sklepie fotooptycznym dwie soczewki — jedną na obiektyw, drugą na okular. Soczewka obiektywu (zbierająca, dwuwypukła) powinna mieć długą ogniskową np. 100 cm, natomiast okularu, również dwuwypukła o krótkiej ogniskowej, np. 2 cm. Na okular można również zastosować soczewkę dwuwklęsłą, silnie rozpraszającą.

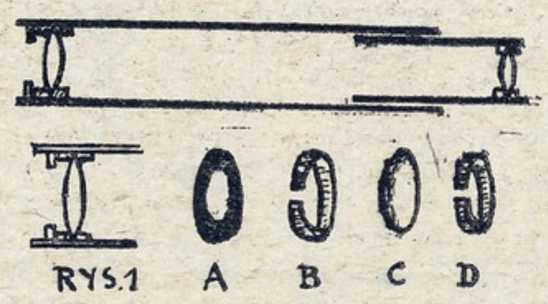

RYS.1

Gdy mamy soczewki, zrobienie lunety jest już proste. Z papieru robimy dwie rurki, jedną o długości 108 cm, w której osadzimy obiektyw oraz drugą, o długości 15 cm, w której osadzimy okular. Średnice rurek dopasujemy do średnicy posiadanych soczewek. Rurki sklejamy z kilku warstw papieru nawijając je na drewniany wałek o odpowiednio dobranej średnicy i długości. Rurki muszą być pomalowane wewnątrz czarnym tuszem. Sposób zamocowania soczewek przedstawia rysunek 1. Obok pokazujemy elementy, które w podanej kolejności należy montować: A — przesłonę z tektury, B i D — pierścienie, również z tektury, do zamocowania soczewki oraz C — soczewkę. W identyczny sposób montujemy soczewkę okularu. Uwaga pierwsza: wycięte wewnątrz przesłony „oczko" powinno mieć mniejszą średnicę od średnicy soczewki o ok. 15 mm. Uwaga druga: obydwie soczewki muszą być osadzone prostopadle do osi podłużnej lunety. To wszystko, życzę Wam dobrej pogody w czasie obserwacji.

Prezes TOMIKA
ST. BOROWIECKI

TYTUS, ROMEK I ATOMEK

TEKST I RYS.: H. CHMIELEWSKI

PYTANIE: CO TO ZNACZY „KO-KO-EF"?
ODPOWIEDŹ: TO KOSMICZNA ZAGADKA, JUŻ W NASTĘPNYM NUMERZE „ŚWIATA MŁODYCH"